

A photograph of a forest stream with large, gnarled tree roots hanging over the water. The scene is misty and green, with sunlight filtering through the trees.

# Odkrywanie natury

Praktyka głębokiej ekologii | Ryś Kulik



# Odkrywanie natury

Praktyka głębokiej ekologii | Ryś Kulik

## Spis treści

Czym są głębokie pytania i po co je sobie zadawać?.....	3
Kim jestem? .....	5
Kim jest dzikus? .....	7
Czym jest ciało? .....	9
Czym jest oddychanie? .....	11
Czym jest chodzenie i jaki jest z niego pożytek?.....	13
Czym jest śmierć? .....	15
Czy przyroda może być nauczycielką?.....	17
Czy przyrodzie należy pomagać?.....	19
Jaki jest związek religii (duchowości) z ochroną przyrody?.....	21
Czy chrześcijaństwo sprzyja niszczeniu przyrody? .....	23
Co jest naturalnym środowiskiem człowieka?.....	25
Czym jest wolność?.....	27
Czym jest szczęście i co jest jego źródłem?.....	29
Dlaczego ludzie kupują tyle rzeczy? .....	31
Czy poprawa sytuacji ekologicznej wiąże się z obniżeniem jakości życia? .....	33
Na czym polega konflikt między potrzebami człowieka a potrzebami przyrody?.....	35
Czym jest postęp? .....	37
Czy technika uratuje świat? .....	39
Czym są śmieci? .....	41
Czym jest praca? .....	43
Czym są podróże i dlaczego ludzie podróżują?.....	45
Czy jesteśmy lepsi od innych, pozaludzkich form życia? .....	47
Czy życie człowieka jest tak samo wartościowe jak życie żaby? .....	49
Kto jest naszym przeciwnikiem? .....	51
Co się musi stać, by człowiek zmienił swoje podejście do przyrody? .....	53
Jak pogłębiać swój związek z przyrodą? Czyli o zimowym przesileniu .....	55
Jaki sposób życia byłby najlepszy dla nas i Ziemi? .....	57
Zamiast zakończenia, czyli jestem spokojny o Ziemię .....	59

## Wstęp

Ten tom nie jest jeszcze jednym albumem ślicznych obrazków dzikiej przyrody. Nie jest zbiorem poetyckich uniesień sentymentalnego ekologa. Nie jest okrzykiem gniewu i rozpaczem zielonego aktywisty. Nie jest też ogłaszaniem końca świata.

Ta książka to zapis spokojnej, mądrej i głębokiej refleksji nad naszą ludzką kondycją, która jak w powiększającym zwierciadle odbija się i ukonkretnia w naszym stosunku – nie tylko do przyrody – lecz do wszystkiego, co nas otacza.

Autor nie unika żadnego z trudnych pytań, jakie człowiek poszukujący i wrażliwy może sobie zadać. Nawet takich jak: Kim jestem? Czym jest ciało? Czym jest śmierć? Czym jest szczęście? Czym jest wolność? Lista tych i podobnych pytań stanowi spis treści tego niezwykłego albumu. Wzorem mądrych nauczycieli, autor nie daje na nie gotowych odpowiedzi, lecz zaprasza czytelnika do twórczej i odważnej refleksji. Refleksji harmonijnie integrującej perspektywę psychologiczną, filozoficzną i duchową. Ale konkluzja jest nieunikniona; koniecznym warunkiem pozostawania w naturalnej i harmonijnej relacji do naszego otoczenia jest zrozumienie, że nasze ludzkie poczucie oddzielenia i wyjątkowości jest złudzeniem i odkrycie zasady fundamentalnej jedności wszelkich form istnienia. Zasady, która przekracza dualistyczne myślenie – także myślenie w kategoriach relacji.

Nie daj się zwieść czytelniku. To nie jest książka o odkrywaniu przyrody. To książka o odkrywaniu twojej prawdziwej natury będącej zarazem prawdziwą naturą wszystkiego.

**Wojciech Eichelberger**



## Czym są głębokie pytania i po co je sobie zadawać?

Mówiąc metaforycznie „głębokie pytania” są dzwonkiem, który budzi cię z uśpienia. Zabiegani, zagonieni, zapatrzeni w siebie, przeżywamy swoje życie jakby mimochodem. Zwykle bezwiednie robimy rzeczy, które robią inni, myślimy myśli, które są udziałem większości, poddajemy się manipulacjom nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Trochę to wygląda tak, jakbyśmy byli społecznymi automatami, które inni programują i które w związku z tym realizują jakieś nie-własne cele. A potem jeszcze wmawia się nam, że właśnie to jesteśmy my.

(Znacie tę reklamę: „bądź sobą – wybierz pepsi”)

Tak, ludzie w naszym obszarze kulturowym mają bardzo silne poczucie wolności i niezależności, ale gdy głębiej się temu przyjrzeć, to okaże się, że niemal wszyscy realizujemy jakiś absurdalny program życiowy, w którym trzeba zaharowywać się, po to, by mieć dużo pieniędzy, po to, by kupować przedmioty, bez których spokojnie moglibyśmy się obejść.

*W stanie „nie wiem” widzę rzeczy takimi, jakimi są – bez nakładania na nie własnych wyobrażeń, projekcji i zachcianek. Ostatecznie znikają wszelkie bariery, które wcześniej oddzielały mnie od świata*

Do tego dochodzi jeszcze wiele innych działań i wyborów, które realizujemy jakby z rozpędu nie zastanawiając się nad ich sensownością, naszymi rzeczywistymi motywami, czy konsekwencjami w jakiejś dłuższej perspektywie czasowej. Jesteśmy bardzo krótkowzroczni i zapatrzeni w nasz doraźny i bardzo wąsko pojmowany interes.

To wszystko pcha nasz świat na krawędź przepaści, ponieważ widzimy, że ta rozkręcona machina rozwoju za wszelką cenę pochłania kolejne gatunki, dzikie miejsca, ale również też nasze poczucie spokoju i spełnienia. Zamiast żyć w równowadze i harmonii jesteśmy coraz bardziej zabiegani, zmęczeni i depresyjni, a równolegle Ziemia staje się coraz bardziej zdegradowanym miejscem.

Jak się obudzić z tego letargu? Jak przerwać to błędne koło?

Ratunkiem dla nas i dla świata mogą być głębokie pytania, które zadajemy sobie, by odnaleźć się na powrót w tym, co jest naprawdę ważne. Ale zadawanie sobie tych pytań wymaga określonych warunków i pewnej dyscypliny.

Przed wszystkim, żeby zadać sobie głębokie pytanie najpierw trzeba się zatrzymać. Stop!

Teraz jest ten moment. Nie ma żadnej przeszłości i przyszłości. TERAZ. Żadnego pośpiechu, żadnego celu...

Dalej, trzeba odnaleźć w sobie odwagę, aby poddać w wątpliwość to, co jest. Nic nie jest oczywiste, nic nie jest dane z góry. Tutaj otwiera się przestrzeń, w której pojawiają się najbardziej podstawowe, pytające intuicje: kim jestem, czym jest życie, co ma znaczenie, o co chodzi w tym wszystkim?

Od razu też pojawia się pokusa, aby dać pierwszą lepszą odpowiedź. Albo wymyślić jakąś odpowiedź odwołując się do własnego intelektu, wiedzy czy doświadczenia. Ale wtedy na powrót zapadamy w sen. W głębokich pytaniach nie chodzi o myślenie czy intelektualizowanie, ponieważ stan „wiem” jest zachęceniem do ponownego uruchomienia automatycznego programu.

Zadawanie głębokich pytań, jeżeli ma nas od tego uchronić, musi zawierać zgodę na dyskomfort związany z brakiem gotowej odpowiedzi. Bo w głębokich pytaniach tak naprawdę nie chodzi o odpowiedzi, a o „stan pytający”. Ten stan, który możemy nazwać przenikliwością i uważnością przesywa na wskroś każdą prawdę i dociera do samego jądra egzystencji. Bez myślenia, bez odpowiedzi, mamy okazję, żeby prawdziwie zjednoczyć się z pytaniem. Być całym sobą pytaniem, chodzić z nim, oddychać nim, patrzeć nim, słuchać nim. Dać się pochłonąć. I w tym stanie, w pełni doświadczyć własnego „nie wiem”. To prawdziwie święty stan, ponieważ leczy nas z chronicznej arogancji, której podstawą jest przekonanie o własnej nieomyślności. W stanie „nie wiem” widzę rzeczy takimi, jakimi są – bez nakładania na nie własnych wyobrażeń, projekcji i zachcianek. Ostatecznie więc znikają wtedy wszelkie bariery, które wcześniej oddzielały mnie od świata.

Z tego stanu następnie spontanicznie rodzą się podstawowe oczywistości: że oddycham, że stoję na ziemi, że czuję. Jak bardzo daleko odeszliśmy od tych prostych poruszeń serca, od cudowności zwykłych spraw, które potrafią codziennie zachwycać tych, którzy nie dali złapać się w pułapkę pośpiechu, czy podszeptów medialnej karuzeli. Będąc blisko tego, co przyziemne, odkrywając to, co jest najważniejsze i podstawowe sprawiamy, że nasze życie ponownie wchodzi na właściwe tory. I jakkolwiek to, co proste, zwykłe i przyziemne wydaje się być nudne i mało atrakcyjne w porównaniu z tym szalonym i kolorowym cywilizacyjnym zawrotem głowy, to właśnie tam otwiera się prawdziwa głębia pełnego doświadczenia chwili terażniejszej – bez żadnych specjalnych zabiegów – ot tak po prostu. Tak oto wygląda praktyka zadawania sobie głębokich pytań.

Właśnie tutaj, właśnie teraz mogę doświadczyć prostoty i siły życia i następnie zacząć robić to, czego nie mogę nie robić.



## Kim jestem?

Jestem człowiekiem, mężczyzną, synem, mężem, psychologiem, nauczycielem... Wielu z nas zapewne podobnie odpowie na to pytanie. Pytanie fundamentalne; kto wie, czy nie największe z największych. Jest tak, ponieważ w momencie, gdy określamy siebie, jednocześnie wskazujemy na to wszystko, co nami nie jest. Tak oto rodzi się podstawowy podział, w którym moje „ja” jest swojskie, a świat zewnętrzny jest obcy. To, co znajduje się na zewnątrz może być bardziej lub mniej obce, w zależności od tego, jak duże widzimy podobieństwo między określeniami przypisywanymi sobie i temu innemu. Tak się składa, że zwykle w tych zabiegach świat naturalny, dzika przyroda znajdują się na szarym końcu, czyli są najbardziej obce, najbardziej różne od nas.

Zatem sposób, w jaki myślimy o sobie, decyduje o tym, że czujemy się w świecie niepewnie i źle; czujemy się obco i samotnie, a sam świat postrzegamy jako zagrażający. Szczególnie świat dzikiej przyrody. Co nam grozi? Obawiamy się tego, że to, czego nie jesteśmy w stanie kontrolować spowoduje, że będziemy musieli rozstać się z tym, co jest dla nas ważne: poczucie komfortu, możliwość wywierania wpływu na rzeczywistość, realizowania własnego interesu. Ale boimy się też, że stracimy bezpowrotnie siebie, czyli naszą identyfikację z naszym „ja”. To utożsamianie się z „ja”, z własnym wizerunkiem jest źródłem permanentnego lęku. Obawiamy się stracić twarz, czy dobre imię, ale też lękamy się śmierci, która jest zawsze związana z utratą naszego małego „ja”.

Jak więc widać, to nasze biedne „ja”, do którego tak bardzo jesteśmy przywiązani ciągle musi coś robić, żeby ograniczyć ryzyko tych wszystkich strasznych rzeczy. Z tego powodu „ja” staje się rodzajem zbroi, która ma chronić nas przed światem, zbroi, która ostatecznie przejmuje władzę nad nami i dyktuje warunki walki z tym, co na zewnątrz.

Ta wszechwładza „ja” i związana z nią niezwykła nasza wrażliwość na zranienie oraz towarzyszący jej lęk prowokują takie nasze zachowania, które codziennie przyczyniają się do postępującej degradacji naszej

*Niedoceniamy samych siebie.  
Jesteśmy kimś znacznie większym,  
niż nam się na co dzień wydaje*



planety. Są to: kontrolowanie rzeczywistości, manipulowanie naturalnymi procesami, nadkonsumpcja, czy uzurpacja oparta na przekonaniu, że jesteśmy kimś wyjątkowym i że w związku z tym należą się nam szczególne przywileje. Efektem tego jest ciągła walka i zmaganie się z życiem.

Ale konsekwencje ponosi nie tylko przyroda. Również my sami cierpimy pod rządami tej tyranii. Paraliżujący nas lęk odbiera nam możliwość prawdziwego cieszenia się życiem, czyli doświadczania w pełni chwili teraźniejszej. Zamiast więc zanurzyć się w nurcie życia, ciągle od niego uciekamy obawiając się, że utoniemy.

Fakt, że zarówno przyroda, jak i my sami ponosimy koszty tego przywiązania do „ja” wskazuje, że ostatecznie granica, którą pierwotnie wytyczamy między sobą a światem jest czymś iluzorycznym. Nasze małe „ja” jest produktem tej granicy i podstawową przyczyną naszego cierpienia.

Zadając sobie wnikliwie pytanie „kim jestem?” mamy szansę stopniowo przedrzeć się przez kolejne zasłony zawieszane przez nasze „ja”. Ten proces zapytywania siebie przypomina też stopniowe pozbywanie się elementów zbroi, która oddziela nas od świata. Przekraczając te wszystkie zasieki i obrony pozwalamy sobie na uwolnienie własnej natury, która do tej pory zamknięta była w ciasnej klatce. Pierwszym tego objawem jest odkrywanie w sobie tego wszystkiego, co pozornie znajduje się poza nami: skały, rzeki, drzewa, chmury, miejsce, w którym żyję, inni ludzie, zwierzęta, a ostatecznie cała Ziemia, to wszystko jestem JA. Możemy temu zaprzeczać (często tak zresztą robimy – głównie w odniesieniu do przyrody), może się to nam wydawać dziwną spekulacją albo jakimś psychotycznym szaleństwem, ale oczywistość tego faktu dopadnie nas prędzej czy później. Im prędzej, tym lepiej, ponieważ ma to zbawienne skutki zarówno dla nas, jak i całego świata. Po pierwsze, pozwala nam to przestać kurczowo trzymać się naszego małego „ja”. Wolność od tego przywiązania daje jednocześnie wolność od lęku. Nie ma już przecież niczego, co moglibyśmy utracić (wszak poszerzając naszą tożsamość „tracimy” naszą identyfikację z małym „ja”). Po drugie, w stanie szerokiej identyfikacji, naturalnie i spontanicznie troszczymy się i opiekujemy się tym, czym jesteśmy. Jestem lasem, jestem rzeką, więc staję w ich obronie tak samo, jakbym bronił siebie. I nie wynika to z jakiegoś nakazu, powinności czy przymusu, ale z głębokiego rozpoznania tego, kim naprawdę jestem. W tym stanie (jeżeli jest on prawdziwie głęboki) po prostu działam, nawet gdybym miał być jedynym człowiekiem, który tak właśnie robi.

Tak, właśnie tak: niedoceniaamy samych siebie. Jesteśmy kimś znacznie większym, niż się nam na co dzień wydaje.

A ostatecznie, wnikając głęboko w siebie i w to pytanie, stajemy przed wielką tajemnicą, która z jednej strony poraża swym ogromem i oczywistością, a z drugiej daje niezwykle poczucie spokoju umysłu. Wobec tej tajemnicy można tylko milczeć lub powiedzieć „nie wiem”.





## Kim jest dzikus?

Dzikus to barbarzyńca, prymityw, ktoś nieokiełznany, brutalny, pełen agresji i pozbawiony hamulców. To ktoś, kogo trzeba się wystrzegać i unikać. Najlepiej go ucywilizować. A jeśli nie, to koniecznie zamknąć w klatce. I kontrolować!

Boimy się dzikusa, bo kojarzy nam się z wszystkim, co złe. My – ludzie cywilizowani – gardzimy dzikusami, patrzymy na nich z wyższością i za wszelką cenę dążymy do tego, by stali się tacy jak my – oswojeni.

W naszym stosunku do dzikusa ujawnia się odwieczny konflikt między kulturą i naturą. Dlatego różne negatywne zjawiska w naszym świecie, w oparciu o tę dychotomię określane są mianem zdziczenia lub zezwierzęcenia. Natura jest zła – kultura jest dobra.

Jak bardzo takie myślenie jest iluzoryczne niech poświadczą dwa przykłady. Największe zbrodnie, z jakimi mieliśmy do czynienia w historii ludzkości (zagłada Żydów, ludobójstwo Pol Pot, komunistyczne czystki) były dokonywane z powodów ideologicznych. Jeśli mówimy tutaj o zezwierzęceniu, to jest to głęboko

*Dzikus w nas powinien być gatunkiem chronionym jako jedna z tych istot, które są zagrożone wyginięciem*

niesprawiedliwe w stosunku do zwierząt, które nigdy w myśl ideologii nie zabijają. Dwudziesty wiek ociekający krwią jest raczej przykładem porażki naszej kultury, a nie dowodem na zdziczenie gatunku ludzkiego.

Drugi przykład dotyczy dzikich zwierząt – pingwinów cesarskich. Ptaki te żyją w skrajnie trudnych warunkach środowiskowych (niska temperatura, wiejące wiatry). Ich dzika natura wykształciła specyficzne zachowania instynktowne, które pozwalają przeżyć w tych niekorzystnych warunkach. Stado pingwinów zbija się w jedną gromadę, co pozwala na minimalizowanie strat ciepła. Najbardziej narażone na wychłodzenie są osobniki znajdujące się na zewnątrz grupy, więc co jakiś czas zamieniane są one przez inne ptaki, które przed chwilą znajdowały się w środku kręgu. Taka rotacja pozwala skutecznie gospodarować ciepłem całego stada i maksymalizuje szanse przeżycia wszystkich osobników.

A teraz wyobraźcie sobie cywilizowanych ludzi w takiej sytuacji... Widzicie to kombinowanie, żeby utrzymać najlepszą pozycję? Pewnie trzeba by stworzyć prawo regulujące zasady rotacji. Wyobrażacie sobie te głosowania, programy działania, dyskusje. Partie mające najlepsze pomysły, walka o władzę, równi i równiejsi... Oczywiście wszystko „rozsądne” i „wyważone”. No i w końcu, gdyby się już dogadali i coś ustalili, to musieliby też stworzyć policję, która pilnowałaby porządku. No bo wiecie: korupcja, nieuczciwość, wymuszenia... Swoją drogą ciekawe, czy byśmy przeżyli. Tak czy owak, właśnie taki jest nasz racjonalny, cywilizowany i uporządkowany świat.

W naszym stosunku do dzikusa odbija się brak zaufania do natury, do tego, co przyrodzone i pierwotne oraz silny lęk przed pozbyciem się przymusu kontroli.

Tak czy owak, gdy przyjrzymy się uważnie sobie, dostrzeżemy dzikusa. On ciągle w nas jest. Zwykle zaniedbany, stłamszony, zamknięty w klatce, upokorzony. W takich warunkach cywilizacyjnej klatki może też przekształcić się w prawdziwie groźną bestię, która rośnie w destrukcyjną siłę, im bardziej chcemy ją ujarzmić. Bo arytmetyka jest tutaj dość prosta: energia służąca do ujarzmania zamienia się w energię oporu i walki tego, co jest ujarzmiane. Zatem im bardziej się cywilizujemy, tym paradoksalnie silniejsze staje się to z czym walczymy.

A dzikus w nas w istocie jest kimś niewinnym. Przejawia się w spontanicznych reakcjach, w szalonych pomysłach, w twórczych niestereotypowych rozwiązaniach. Dzikus w nas kicha, ziewa i pierdzi, jak należy, czyli otwarcie i bez poczucia winy. Matka spogląda dziko-troskliwym spojrzeniem na swe nowo narodzone dziecko, podczas, gdy ono dziko ssie jej pierś. Dzikość jest uniesieniem kochanka i szlochaniem po stracie kogoś bliskiego. Jesteśmy dzikusami, gdy mówimy pełnym stanowczym „nie”, w sytuacji, gdy las, który kochamy jest wycinany bez umiaru i wtedy, gdy ze spokojem przyglądamy się, jak świerki umierają zaatakowane przez korniki.

Gdyby nie dzikus w nas, nasze życie byłoby żalosne, pozbawione smaku, koloru uczuć, żywotności i jakiejś pierwotnej ufności i spokoju. Bo dzikus jest mądry doświadczeniem tysięcy, a może i milionów lat procesu ewolucji, w którym kształtował swój dziki charakter.

Z tego względu i jeszcze z dziesiątków innych względów, o których tutaj nie napisałem dzikus w nas powinien być gatunkiem chronionym, jako jedna z tych istot, które są zagrożone wyginięciem.

Nie chodzi też przy tym o to, by dzikus zdominował nas całkowicie. Mamy wiele różnych twarzy i każda z nich może być na swój sposób użyteczna. Chodzi bardziej o to, żebyśmy przestali walczyć z naszą dziką naturą, żebyśmy ogłosili w końcu pokój w tej bezsensownej wojnie, jaka toczy się w nas i na zewnątrz nas z czymś, co nazywamy dzikością. Żeby tak się stało musimy zdziczyć na powrót, pozwolić sobie na bycie dziką istotą. Łagodnie i z miłością spojrzeć na dzikusa w sobie i zaprosić go do siebie, oddać mu należne miejsce, a następnie w pełni czerpać z jego zasobów, które są wielkim darem.

Bo dzikus jest naszą najprawdziwszą twarzą, którą odkrywamy pod wieloma maskami społecznych konwencji. Jest naszym obliczem, zanim narodzili się nasi rodzice. Dlatego też dzikus wie, że nie ma się czego bać. Bo patrząc w swoje odbicie widzi twarze wszystkich istot, jakie kiedykolwiek żyły na tej planecie.

Wszystkiego Dzikiego!





## Czym jest ciało?

Ciało jest czymś co posiadamy. Mówimy przecież „moje ciało”, „moja noga”, czy „moja głowa”. Ale kim jest ten, który posiada? Jakoś intuicyjnie wierzymy, że jesteśmy gdzieś, w jakimś nieokreślonym centrum, skąd zawiadujemy całym naszym ciałem. Z tej perspektywy ciało wydaje się być czymś różnym od nas, czymś obcym, jakimś przebraniem jedynie. Z tego też powodu ciało często traktuje się jak przedmiot, jak maszynę. Prowadzi to do tego, że nasze ciała nadmiernie eksploatujemy (jak w sporcie zawodowym), nie dajemy mu tego, czego ono potrzebuje (np. odpoczynku, snu, ruchu) lub dajemy to, czego ono w ogóle nie potrzebuje (używków, słodczy, siedząca pozycja). Ciała się modeluje, poprawia, wykorzystuje ponad miarę, sprzedaje...

Czy coś wam to przypomina? Czyż podobnych rzeczy nie robimy wobec dzikiej przyrody? Ją również posiadamy (tak przynajmniej nam się wydaje). Ją też eksploatujemy ponad miarę, cywilizujemy, kształtujemy zgodnie z naszym pomysłem. I co najważniejsze też jesteśmy od niej oddzieleni.

Między ciałem a dziką przyrodą jest bardzo ścisły związek. Jakby na to nie patrzeć, ciało jest najbliższym nam kawałkiem dzikiej przyrody. Łączy nas z całym wszechświatem, bowiem składa się z materii, tej samej, co gwiazdy, drzewa, rzeki, zwierzęta i kamienie. Mało tego – przez nasze ciało nieustannie przepływa cała ta materia. To, co jest chmurą za chwilę będzie moimi łzami, krwią. To, co jest promieniem słońca za chwilę będzie moim wewnętrznym ciepłem i energią. To, co jest wiatrem za chwilę będzie moim oddechem, a gleba wkrótce zamieni się w moje tkanki.

Na co dzień nie jesteśmy tego wszystkiego świadomi, nie widzimy tego związku, bo przecież jesteśmy gdzieś indziej, w jakimś nieokreślonym wewnętrznym centrum. To nasze oddzielenie od własnego ciała i jednocześnie od przyrody jest jednym z naszych największych dramatów. Jakoś wzdramy się przed tym, że nasze „ja” może mieć wymiar materialny. Materia bowiem jest czymś niższym, niedoskonałym, przemijającym

*Zanurzając się w swojej cielesności ponownie odkrywamy związek z całą przyrodą, z całym wszechświatem*



w swoich formach, grubym i marnym. Windujemy się więc gdzieś wyżej nie przyznając się do tej całej gnuśności. I jak tam już jesteśmy, to już tylko krok do tego, by owej pogardzie wobec materii, czyli wobec własnego ciała i dzikiej przyrody dać wyraz w tych wszystkich okropnych rzeczach, które robimy.

Należy w końcu zapytać, komu to robimy? Czy jakiejś tam przyrodzie, jakiemuś tam ciału? Nie, ostatecznie robimy to sami sobie! Bo trzeba to bardzo wyraźnie powiedzieć: nie posiadamy własnego ciała, tak samo jak nie posiadamy przyrody. JESTEŚMY swoim ciałem. JESTEŚMY przyrodą. Już najwyższy czas przekroczyć to oddzielenie, wyjść z tej ciemnej kryjówki, w której czujemy się samotni i połączyć się z sobą i całym wszechświatem. Jako istoty ludzkie jesteśmy istotami materialnymi i nie trzeba wcale od tego uciekać, ani się tego wstydić, czy z tym walczyć. Zanurzając się w swojej cielesności ponownie odkrywamy związek z całą przyrodą, z całym wszechświatem. Patrząc na płynącą rzekę, na chmury, kładąc się na trawie czy obserwując ptaki widzimy samych siebie, swoje „większe ja”. Zatem odkrycie siebie w swojej cielesności jest drogą do odkrywania siebie w świecie zewnętrznym. Jestem głęboko przekonany, że ta ponowna integracja na poziomie ciała, a następnie przyrody skutkuje zupełnie innym funkcjonowaniem w świecie. I nie chodzi tu nawet o jakiś szczególny szacunek wobec ciała czy przyrody, bo to wydaje się aż nazbyt oczywiste i szkoda nawet o tym mówić.

Ktoś zapyta jednak, a co z duchem, duszą? Czyż nie jesteśmy też istotami duchowymi? Czy utożsamianie się wyłącznie z czymś materialnym nie sprowadza nas gdzieś na dół, nie redukuje nas do czegoś, co jest wyłącznie materialne? No tak, to dość poważny zarzut. Ale zaręczam wam, że nie ma się czym przejmować, bowiem zarzut ten oparty jest na fałszywej przesłance, jakoby duch i materia były jakimiś oddzielnymi bytami. Po raz kolejny odzywa się czkawką nasze złudne przekonanie o pierwotnym oddzieleniu. Żyjemy w iluzji oddzielenia i przykładamy tę matrycę do wszystkiego, do czego się tylko da. Wydaje się nam więc, że umysł i ciało są oddzielone, natura i kultura, dobro i zło, duch i materia, światło i ciemność, Bóg i stworzenie. A może jest tak, że żadnego oddzielenia nie ma, więc i duch i materia też nie są czymś różnym. Materia jest przeniknięta duchem, a nawet jest duchem, a duch jest w swej istocie materialny. Tak właśnie spostrzegali rzeczywistość nasi dalecy przodkowie.

Można powiedzieć tak: ciało jest naszą szansą na przebudzenie się do czegoś, czym w istocie jesteśmy. Identyfikując się z ciałem otwieramy szeroko ramiona na całą przyrodę, cały wszechświat i w ten sposób stajemy się całością, która ma duchowy wymiar. Pogodzenie się z własnym ciałem, odkrycie w nim siebie jest pierwszym ważnym krokiem ku Pełni.



## Czym jest oddychanie?

To pytanie może wydać się wam banalne. Oddychamy przecież wszyscy i ciągle, więc co może być w tym interesującego? Ilekć jednak zwykłych rzeczy zdaje się nam być banalnymi, choć to właśnie od nich zależy nasze życie. Nie inaczej jest z oddychaniem. To ono podtrzymuje nasze kruche życie. Gdy umieramy wydajemy ostatnie tchnienie. Życie jest tożsame z oddychaniem i to nie tylko z perspektywy biologicznej (bez niego niemożliwy byłby metabolizm), ale również duchowej. Zauważcie, że słowo duch pochodzi wprost od oddechu. Jeśli mówimy „wyzionął ducha” oznacza to, że nie ma w nim już „dechu”.

Nieprzypadkowo więc w różnych praktykach duchowych praca z oddechem jest zwykle najbardziej zaawansowaną i potężną techniką osiągnięcia doskonałości i pełni. Oddech jest pomostem między oddzielnym umysłem a sferą duchową. W tym sensie oddech też jest ważnym nauczycielem wskazującym na samą istotę życia i na podstawową naturę rzeczywistości. Oddech bowiem zawiera w sobie wdech i wydech, czyli dwa przeciwstawne sobie procesy. Można więc powiedzieć, że oddech jest wewnętrznie podzielony i niejako skłócony, bo wdech jest przeciwieństwem wydechu, a wydech - wdech. Z perspektywy oddzielenia wdech walczy z wydechem i ta ciągła wojna jest kolejnym przejawem wielu wojen i podziałów, które widzimy w świecie. Podobnie spostrzegamy zjadanie się zwierząt, dobro i zło, czy życie i śmierć. Ale wiemy też – i jest to niezwykle ważna lekcja – oddychanie (życie) jest możliwe właśnie dlatego, że wdech i wydech wzajemnie się dopełniają. Nie tyle więc jest to walka, ile harmonijne tworzenie pewnej całości. Ostatecznie nic tutaj nie wygrywa, ani nie przegrywa, nic też nie jest oddzielone, bo perspektywa całości nadaje zupełnie inny sens temu, co się dzieje.

Ale oddech mówi jeszcze znacznie więcej. Oddech jest szczególnym pomostem między oddzielnym umysłem a ciałem, czyli najbliższym nam kawałkiem dzikiej przyrody. Oddychanie jest funkcją, która jest regulowana autonomicznie poprzez ośrodek w naszym mózgu. Ale też z drugiej strony (inaczej niż w przypadku

*Świadome bycie z naturą to akt włączenia siebie w szerszą perspektywę, w której rezygnacja z kontroli staje się podstawą spokojnego umysłu*

np. serca) świadomie jesteśmy w stanie wpływać na oddychanie; możemy je pogłębić, przyspieszyć, zatrzymać. To właśnie stanowi wyjątkową sytuację w obszarze naszego ciała: jedyna funkcja, która może być regulowana automatycznie i świadomie. Biorąc to pod uwagę oddech jest niezwykłą metaforą naszej relacji z ciałem, w tym z dziką przyrodą, w której ujawniają się aspekty kontroli, władzy, poddawania się, zaufania i współdziałania.

W pierwotnym stanie jesteśmy własnym oddechem i nie musimy się o niego w ogóle troszczyć, bowiem oddech, z którym „ja” się identyfikuje dba sam o siebie, bez niczyjej pomocy. Przychodzi jednak moment, kiedy oddzielamy się od własnego ciała, w tym od oddechu, tak jak oddzielamy się od przyrody. Pozornie nic się nie zmienia, bo przecież oddech dalej „dba” o siebie, czyli oddycha, tak jak i przyroda dalej żyje. Ale teraz już my jesteśmy tego wszystkiego świadomi, bo niejako patrzymy na to z zewnątrz, z pozycji oddzielenia. Wtedy też odkrywamy, że świadomie możemy ingerować w te naturalne procesy. Możemy kontrolować oddech i przyrodę. W tym stanie oddzielenia ogarnia nas też obawa i lęk, czy oddech (przyroda) poradzi sobie bez naszej ingerencji. Oddzielenie rodzi niepewność i brak zaufania do tego, co naturalne. Na tym fundamencie powstaje potrzeba, a następnie przymus kontroli tego, co do tej pory samo sobie nieźle radziło. Obecnie jesteśmy właśnie w takiej sytuacji. Kontrolujemy naturalne procesy, tak jakbyśmy chcieli cały czas kontrolować oddychanie. Wyobraźcie to sobie, jak wyglądałoby wasze życie, gdybyście musieli planować każdy wdech i wydech, gdyby trzeba było ustanawiać przepisy regulujące odpowiednie oddychanie. Oczywiście musiałyby też pojawić się policja, która ścigałaby tych, którzy nie przestrzegają tych norm. Ludzie czytliby poradniki mówiące o tym jak oddychać. Poza całym tym zamieszaniem, pomyślcie, jaka byłaby to ciężka praca i wysiłek – ciągłe kontrolowanie własnego oddechu, pomimo tego, że przecież on zupełnie sam mógłby sobie dobrze radzić. Dlaczego nie można by sobie odpuścić tej kontroli? Ano dlatego, że od kontroli przecież (jak nam się zdaje) zależy nasze życie. Boimy się więc, że odpuszczając ją sobie prowokujemy katastrofę. Poza tym, zawłaszczenie poprzez kontrolę tego, co naturalne jest też jakąś rozpaczliwą i (może) daremną próbą ponownego połączenia tego, co oddzielone, z całością.

Tak właśnie obecnie żyjemy: pod przymusem kontroli, pozbawieni zaufania do tego, co naturalne i straszliwie przemęczeni tym zmaganiem się z życiem.

Najprościej byłoby wyjść z tej pułapki ponownie poddając się oddechowi (przyrodzie), pierwotnej mądrości procesu. Jest to jednak trudne, ponieważ poddanie kojarzy się nam z katastrofą. Obawa i lęk są zbyt silne. Wydaje się, że nie ma powrotu wprost do tego pierwotnego stanu, kiedy oddech i „ja” stanowiły jedność. Co więc możemy zrobić z oddechem, co jednocześnie będzie zmianą w naszej relacji z przyrodą?

Uważam, że możliwa jest trzecia droga, która przekracza dychotomię: kontroluję – poddaję się. Tą trzecią drogą jest świadome towarzyszenie własnemu oddechowi, który przecież i tak sam oddycha. Świadome towarzyszenie oznacza jednoczące współistnienie, w którym ostatecznie to, co było dwoma staje się jednym. Ważne jest to, że decyzja dotycząca tego kroku wychodzi od oddzielnego „ja”, które ostatecznie przekracza oddzielenie w akcie świadomego połączenia z tym, co naturalne.

Świadome oddychanie, to bycie blisko oddechu, bycie nim. To proces, w którym bez wysiłku i przymusu identyfikujemy się z tym, co jest. Świadome bycie z naturą, to akt włączenia siebie w szerszą perspektywę, w której rezygnacja z kontroli staje się podstawą spokojnego umysłu.

Twój oddech jest drogą do świadomej dzikości.





## Czym jest chodzenie i jaki jest z niego pożytek?

Swego czasu spotkałem się z taką oto mądrością życiową: „zawsze lepiej gdzieś dojechać niż dojść”. Wydaje się, że chyba wszyscy wzięliśmy to sobie głęboko do serca. Chodzenie zdecydowanie wy-chodzi z mody, staje się synonimem zacofania, niskiego statusu społecznego lub jakiegoś bezsensownego oszołomstwa. Bo też chodzenie jest zupełnie niepraktyczne. Wprawdzie mówi się, że świat się skurczył, ale jednocześnie dystans, jaki mamy do pokonania codziennie znacznie się wydłużył. Odległość od pracy czy szkoły, zakupy, które robimy w wielkich centrach handlowych na peryferiach miast, wakacje, które spędzamy w odległych zakątkach i wreszcie wszechobecny pośpiech, to wszystko nie sprzyja chodzeniu, za to sprzyja jeżdżeniu. Najlepiej oczywiście samochodem, dającym szczególne poczucie wolności i niezależności.

Do tego wszystkiego chodzenie jest takie męczące i monotonne. Żeby chodzić, trzeba się poruszać, wydawać energię, a my najchętniej byśmy siedzieli i w tej siedzącej bezwysiłkowości osiągnęli swoje cele. Tak oto

*Prawdziwym cudem jest chodzenie po ziemi!*

symbolem naszej cywilizacji stało się krzesło, z którym to przedmiotem łączy nas bodaj najbardziej intymny związek, poprzez tę jakże szczególną część naszego ciała. (Ach, gdyby tak te krzesła potrafiły mówić...)

No więc siedzimy albo, co gorsza siedzimy jeżdżąc i w ten oto sposób chodzenie stopniowo staje się wymierającą sztuką, którą praktykujemy coraz rzadziej.

A szkoda. Bo chodzenie zawiera wyłącznie składniki naturalne. Jest wolne od samochodów, płaskich jak stół dróg (choć to nie u nas), nie produkuje hałasu oraz innych zanieczyszczeń. Żeby chodzić, nie trzeba żadnych pozwoleń i licencji; chodzenie jest jedną z tych umiejętności, których uczymy się bardzo wcześnie i mamy ją niemal we krwi. Chodzenie jest tanie, nie wymaga zakupu biletów, tankowania lub posiadania wyrafinowanego sprzętu (no może tylko butów, ale i one w pewnych sytuacjach mogą być zbędne). Chodzenie jest dostępne dla wszystkich: i biednych i bogatych, i grubych i chudych, i dzieci i dorosłych. Chodzić każdy może!

Ale przede wszystkim chodzenie sprowadza nas do najbardziej odpowiedniej dla nas skali życiowej. Świat człowieka chodzącego zawiera się w promieniu kilku kilometrów. I prawdopodobnie w promieniu tych kilku kilometrów w stanie naturalnym jest wszystko to, co niezbędne do naszego życia. Nasi dalecy przodkowie właśnie w ten sposób przeżywali swoje życie. Oczywiście od czasu do czasu migrowali też, ale zwykle robili to chodząc właśnie.

Przestrzeń wyznaczona możliwościami naszych nóg dawała nam okazję by otaczający nas świat doświadczany był lokalnie. W takim świecie naturalną wspólnotą była mała grupa, plemię, które dzieliło owo przestrzeń razem z innymi formami życia.

Dopóki chodziliśmy, cała ta przestrzeń była bezpośrednio dostępna, ponieważ nasze nogi razem z funkcją chodzenia świetnie radzą sobie w zróżnicowanym terenie: potrafimy się wspinać, podskakiwać, przekraczać. Problemy zaczęły się, gdy wymyślono koło, które na pierwszy rzut oka jest zupełnie niepraktyczne. Zauważcie, że natura nie obdarzyła takim wynalazkiem żadnego organizmu lądowego. Prawie wszyscy mamy nogi – nikt koła. Kto przeżyłby z kołem? Ale człowiek jest istotą twórczą i wymyślając koło skazał się jednocześnie na konieczność przystosowania środowiska do swojego wynalazku. Stąd sieć dróg, a dalej autostrad, po których można poruszać się kołowo.

Tak oto utraciliśmy niewinność chodzenia i staliśmy się mobilni do bólu.

Ale też można powiedzieć, że tracąc chodzenie, jako coś praktycznego, tracimy jednocześnie świat naturalny. Dzika przyroda bowiem z chodzeniem współistnieje. Te dwa aspekty pasują do siebie, są komplementarne. Zauważcie, że chodząc dotykamy ziemi. Chodzenie jest więc rodzajem komunii z planetą, na której przyszło nam żyć. Nasze stopy łączą się z podłożem, mają z nim bezpośredni kontakt. Chodzenie wymaga stania na własnych nogach, a to wymaga istnienia podłoża. Chodząc ugruntowujemy siebie, stajemy się planetarni, ziemscy w swym podstawowym wymiarze. Czuć Ziemię pod stopami (najlepiej bosymi), to jedno z najpierwotniejszych i najbardziej podstawowych, ale też i najprzyjemniejszych doświadczeń. Tylko wtedy, gdy chodzimy możemy bezpośrednio doświadczyć tego, co jest pod naszymi stopami i wokół nas. Nasze nogi, nasze ciało „pamięta” teren, przemierzana odległość zapisuje się w naszych mięśniach zmęczeniem – w tym sensie droga staje się pełnym doświadczeniem cielesnym, którego jest brak podczas wożenia się. Idąc poruszamy się wolno i w miarę cicho, więc widzimy, słyszymy i odbieramy w sposób pełny innymi zmysłami to, co jest. Chodzenie jest Pełne – niczego w nim nie brakuje.

Chodząc możemy poczuć się całością w swoim ciele, możemy też doświadczać całości na innym poziomie – naszej relacji z planetą. Ona przyciąga nas do siebie, nie pozwala na odloty gdzieś daleko. Ostatecznie zawsze nasze stopy lądują na niej, a ten, komu nie jest to dane prawdopodobnie jest wielkim nieszczęślikiem

W tym sensie chodzenie po wodzie nie jest cudem. Prawdziwym cudem jest chodzenie po ziemi!

Chodzenie po ziemi jest codziennym i najprostszym praktykowaniem swojej intymnej relacji z Matką Ziemią, jest w istocie rytuałem, który jeśli stosowany jest świadomie i uważnie pozwala na dostrojenie się do właściwej perspektywy swojego ciała, a następnie ziemi.

Chodzenie, wędrowanie, jest aktem afirmacji własnej cielesności, która jest źródłem radości (nawet wtedy, gdy wiąże się ze zmęczeniem, czy pęcherzami na stopach) i jest też afirmacją Ziemi w jej naturalnym, dzikim wymiarze. Każdy krok niesie bowiem przesłanie akceptacji i zgody na to, by Ziemia była taka, jaka jest. Stopy zawsze dostosowują się do podłoża.

Każdy krok niesie dzikość; każde koło niesie, toczy zniszczenie. Chodzenie pozwala nam powrócić do małej skali, w której możemy na powrót odkryć Pełnię naszego życia.

Chodźmy więc! Oto właśnie chodzi!





## Czym jest śmierć?

Co widzisz wyobrażając sobie śmierć? Zamknij na chwilę oczy.

W naszej zbiorowej świadomości śmierć istnieje jako kościotrup z kosą; upiorna wizja, na widok której jeżą się resztki sierści na naszym niemal nagim ciele. I nie ma się co dziwić. Śmierć bowiem jest ostatecznym kresem tego wszystkiego, co posiadamy i do czego jesteśmy przywiązani. Umierając bezpowrotnie tracimy ukochane samochody, domy, pieniądze lub inne przedmioty, które za życia z taką pieczołowitością kolekcjonowaliśmy. Tracimy również bliskich nam ludzi, ich przyjaźń, miłość, oddanie. Namiastki tego doświadczamy, gdy ktoś bliski nam umiera. Jakaż dotkliwa jest taka strata. Ale umierając tracimy też coś jeszcze - siebie samego, własne „ja”, wyobrażenie na swój temat. Z tych różnych strat ta chyba jest najdotkliwsza; trzeba bowiem rozstać się z czymś, co jest nam najbliższe, co samo stanowi naszą istotę.

Dlatego też śmierć jest czymś strasznym, czymś, co budzi w nas najsilniejszy lęk. Prawdopodobnie wszystkie nasze lęki są jedynie pochodną tego podstawowego - że przestaniemy istnieć, że może nas nie być. Ten lęk pcha nas do wielu działań, które mają choć trochę odsunąć groźbę śmierci. Prawie cały rozwój technologiczny i tak zwany postęp ma służyć przedłużaniu życia albo redukowaniu przykrości, cierpienia i bólu, które to stany niechybnie przywołują podstawowy lęk. Podobną funkcję może spełniać rozrywka, zabawa, zatracanie się w przyjemnościach (np. nadkonsumpcja) czy uzależnienia. To daremna, bo chwilowa próba rozciągnięcia w nieskończoność dobrego nastroju, zadowolenia, szczęścia. Może właśnie dlatego ludzie tak celebryją Sylwestra: upijają się lub zatracają w zabawie. Wszystko po to, by nie spojrzeć w przerażającą czeluść upływającego czasu, a zatem przybliżającej się śmierci.

Ten cały dramat egzystencjalny i lęk są bardzo ludzkie. Gdy się nad tym pochylimy zobaczymy nasze biedne, małe, załężnione, szamoczące się „ja”, które próbuje robić wszystko by oszukać czas i śmierć. Zobaczymy „ja”, które samotne trzyma się życia, jak tonący brzytwy i faktycznie ciągle się broni zamiast po prostu żyć.

*Ten, kto boi się śmierci,  
tak naprawdę boi się życia*



Zobaczymy oddzielenie w jego czystej postaci i wszystkie tego koszmarnie konsekwencje: począwszy od lęku przed życiem, a skończywszy na podbijaniu przyrody, by ją okiełznać, a raczej by okiełznać śmierć.

A czego może nauczyć nas przyroda o śmierci? Przykładowo, czego może nas nauczyć o śmierci naturalny las? Przewrotnie można by powiedzieć, że nawet połowa tego, co tam żyje jest martwa. Nawet do 50% drzew w takim lesie jest martwa. To jeszcze nie koniec paradoksów: w martwym drewnie jest znacznie więcej życia niż w żywym. Dzieje się tak, ponieważ martwe drewno staje się środowiskiem życia wielu organizmów, a ich liczba znacznie przekracza tę, która związana jest z żywym drzewem. To wszystko oznacza to, że nasze podziały na życie i śmierć są arbitralne i nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Życie i śmierć wzajemnie się przenikają, zależą od siebie, a granice między nimi są płynne.

Oznacza to też, że śmierć jest czymś zbawiennym dla życia. Gdyby organizmy nie umierały, życie nie mogłoby trwać. Zatem nasze sny o wiecznym życiu na tej planecie są bardzo nieżyłowe!

Gdy przywołamy tutaj metaforę naszego ciała, można by rzec, że śmierć jest dla nas tym, czym wydech dla oddechu. Żeby móc oddychać musimy wdychać i wydychać powietrze. Żeby żyć musimy rodzić się i umierać. I nie chodzi tu bynajmniej o reinkarnację, ale o każdą chwilę, która przemija i każdą, która przychodzi. Istotą życia jest ciągle rozstawanie się z tym, co odchodzi i dawanie przestrzeni temu, co przychodzi. Śmierć i narodziny, zmienność, nietrwałość, płynność. Tego właśnie można doświadczyć obserwując chmury, wpatrując się w nurt rzeki, wsłuchując się w szum wiatru w koronach drzew.

Zwierzęta żyją w ten sposób, będąc w pełni w każdej chwili swojego życia. A gdy przychodzi kres, bez patosu i lęku (choć nie bez strachu związanego z instynktem samozachowawczym) biorą swój ostatni wdech i odchodzi. Jakże różnimy się od nich z tymi naszymi wszystkimi cywilizacyjnymi, kulturowymi i psychologicznymi podpórkami, które mają uchronić nas przed lękiem przed śmiercią, a ostatecznie uniemożliwiają nam pełne czerpanie ze skarbnicy życia. Bo ten, kto boi się śmierci, tak naprawdę boi się życia.

Tak oto nasze małe, oddzielone „ja”, nasza „biedna iluzja” sprawia, że idziemy przez życie w pół uśpieni, faktycznie prawie martwi, zmieniając rzeczywistość tak, by nie widzieć i nie czuć tego, co jest.

A cały wszechświat niezmiennie zdaje się szeptać: NIE LĘKAJCIE SIĘ!



## Czy przyroda może być nauczycielką?

Nigdy! Czy pamiętacie te wszystkie krwiożercze sceny z filmów przyrodniczych? Co czujecie, gdy widzicie jak mały orzełek zjada swego słabszego brata? Albo wtedy, gdy słabi, ułomni, chorzy, pozostawieni sobie giną niechybnie w konkurencyjnym wyścigu o składniki pokarmowe, światło, partnerkę lub terytorium?

Nasza ludzka moralność burzy się przeciwko tego typu sytuacjom. Jak więc można przyrodę traktować jako swojego nauczyciela? Czy to znaczy, że w świecie ludzkim mamy postępować tak samo? Bezwzględnie rywalizować, zabijać się, ranić czy zjadać?

A jednak mówimy, że przyroda jest najlepszą nauczycielką. Że to właśnie od niej możemy nauczyć się najważniejszych rzeczy.

Problem polega na tym, że nasze spojrzenie na naturę jest projekcją naszego małego „ja”. Oznacza to, że spostrzegamy przyrodę jako składającą się z oddzielnych części, osobników, istnień. Jest tak, ponieważ sami dla siebie wydajemy się być oddzielnymi. Ta nasza osobność jest matrycą rozumienia całego wszechświata, który widziany jest jako zbiór oddzielnych i oddzielonych elementów. To właśnie z tej perspektywy widzimy zabijanie, rywalizację, walkę, cierpienie. Zawsze jest ktoś, kto zjada innego, kto się ściga z innym. Nieustanna wojna!

Ale zobaczymy, że w naszym ciele również się ona odbywa. Układy współczulny i przywspółczulny są antagonistyczne. Rywalizują ze sobą. Gdy jeden rozluźnia, to drugi napina, gdy jeden przyspiesza tętno, to drugi zwalnia, itd. Z wąskiej perspektywy toczy się wojna, z szerokiej natomiast właśnie ta walka jest fundamentem harmonii i współdziałania. Z perspektywy całości lokalne walki przestają być czymś nagannym, stają się nawet czymś korzystnym. Wyobraźcie sobie, co by się stało gdyby nasze oddychanie polegało wyłącznie na wdychaniu. Ustalamy, że wdychanie jest dobre, a wydychanie złe i należy je wyeliminować. Albo skurcz i rozkurcz serca. Albo dzień i noc. Albo proton i elektron. Kobieta i mężczyzna. Można by jeszcze tak długo wymieniać. Z perspektywy małego „ja” występuje antagonizm i wojna. Z perspektywy dużego „ja”, całości,

*Oto cała sztuka: nie wiedzieć i mieć pewność! Oto cała sztuka: nie robić nic i działać! Oto cała sztuka: poddawać się i mieć siłę!*

procesu, występuje współdziałanie i wzajemne przenikanie się, które prowadzi do powstania nowej jakości – całości, wspólnoty, MY.

Czego zatem uczy mnie przyroda? Uczy mnie pokory i powściągliwości w wydawaniu sądów. Obserwując procesy naturalne mogę się oburzać, może mi się coś nie podobać albo mogę się czymś zachwycać, jednak natura nic sobie z tego nie robi. Jest, jaka jest. Ryba pływa w wodzie, ptak lata w powietrzu, a dżdżownica drąży kanały w ziemi. Każdy i wszystko ma swoje miejsce i robi to, co robi. I nie robi tego, czego nie robi. Jakie to proste i oczywiste! Jaka to wspaniała lekcja.

Patrząc wnikliwie na poszczególne elementy środowiska stopniowo zaczynamy dostrzegać złożoną sieć wzajemnych zależności. W dużym uproszczeniu: ta ryba, ptak i dżdżownica wzajemnie od siebie zależą. Spoglądając na którekolwiek z nich, widać pozostałe. To jest takie, ponieważ tamto jest takie. Nikt nie jest samotny, odrzucony, wyizolowany. Taki wgląd daje poczucie spokoju i zgody na to, co jest. Wiadomo bowiem, że ta chwila, że to co się w niej dzieje, jest jednorazowa i nie może być inna niż jest. Każda chwila jest lekcją doskonałości, w której niczego nie brakuje. To lekcja Pełni, która znajduje się poza jakimkolwiek ludzkim osądem.

Przypomnij sobie jak często się zmagasz, walczysz o coś, starasz się, zmuszasz, masz wątpliwości, nie możesz się zdecydować, nie godzisz się na coś. Może wtedy warto pójść do lasu albo usiąść nad potokiem albo poobserwować chmury i odkryć, że niezależnie od naszego widzimisię, świat jest dokładnie taki, jaki jest. Las żyje tak, że każdy ma w nim swoje miejsce i jest potrzebny (żywy czy martwy – dla całości nie jest to takie ważne), woda płynie jedynym możliwym korytem w każdym swoim „teraz” bez żadnych wątpliwości, a chmury pojawiają się, są, a później znikają, bez żalu i lęku.

To prawdziwa lekcja akceptacji, spokoju i miłości.

Uczestniczenie w tych lekcjach stopniowo prowadzi do takiego momentu, że zapominasz o tym, że jesteś tutaj uczniem. Tak naprawdę bowiem uczeń i nauczyciel istnieje wyłącznie na początku tego procesu. Później, kiedy stopniowo spadają okowy iluzji okazuje się, że między nauczycielem a uczniem nie ma żadnej różnicy. Nie są dwoma! I nie ma niczego do nauczenia się. Bo wszystko jest już znane i oczywiste, choć nie ma to nic wspólnego z ludzką wiedzą. A nawet powoduje, że traktuje się ją z dużą ostrożnością i rezerwą. To właśnie jest wielkie NIE WIEM.

Oto cała sztuka: nie wiedzieć i mieć pewność! Oto cała sztuka: nie robić nic i działać! Oto cała sztuka: poddawać się i mieć siłę! Oto cała sztuka: umierać i żyć!

Dokładnie tak jak przyroda. Jest, która jest.





## Czy przyrodzie należy pomagać?

Większość z nas prawdopodobnie odpowie, że tak. Leśnicy wycinają świerki zaatakowane kornikiem, aby ocalić zdrowe jeszcze drzewa, różni ludzie dokarmiają ptaki oraz inne zwierzęta, zagrożone gatunki odławia się i umieszcza się w zoo, aby tam mogły przetrwać, sadi się las tam, gdzie do tej pory go nie było, tworzy się w laboratoriach nowe odmiany roślin, odporne na szkodniki, aby nie zatruwać ziemi szkodliwymi chemikaliami; zakłada się również rezerваты oraz w inny jeszcze sposób chroni zwierzęta i rośliny.

Prawie każdy człowiek kocha przyrodę i stara się jej jakoś pomagać.

A jednak z pomaganiem należy obchodzić się bardzo ostrożnie! Może to zabrzmieć dość paradoksalnie, ale w pomaganiu kryje się często bardzo wiele egoistycznych intencji. Oznacza to, że pomagając, tak naprawdę dbamy bardziej o swój własny interes, niż o przyrodę. Dzięki usuwaniu kornika i innych szkodników z lasu, leśnicy uzyskują więcej drewna (choć zmniejsza się bioróżnorodność), a ludzie dokarmiający ptaki mogą o sobie pomyśleć, jacy są proekologiczni (choć część tych ptaków może chorować z powodu nieodpowiedniego pokarmu albo na tyle zmieniać swoje zwyczaje, że ostatecznie kończy się to dla nich tragicznie). Znacnie pewnie to powiedzenie, o kotku zagłaskanym na śmierć. Czy w tym całym pomaganiu chodzi rzeczywiście o przyrodę, czy raczej o nasz ludzki interes? Wydaje się, że często pomaganie przyrodzie jest jedynie listkiem figowym, za którym skrywają się zupełnie inne motywy. Tak jest w przypadku kupowania nowych urządzeń, które rzekomo są bardziej proekologiczne. Niedawno słyszałem w radiu pewną reklamę, która zachęcała do kupienia nowego samochodu, który bardziej sprzyja środowisku. Nie trzeba być jednak specjalnie przenikliwym, by dostrzec tutaj marketingową strategię, która w ekologicznym przebraniu lansuje produkt zdecydowanie szkodliwy środowisku. Gdyby ktoś chciał rzeczywiście pomóc przyrodzie, jeździłby autobusami, tramwajami lub rowerem zamiast samochodu.

*Najlepszą chyba rzeczą, jaką możemy zrobić dla przyrody, to pozostawić ją sobie samej*

No właśnie, zwróćcie uwagę na to, że ciągle mówi się o pomaganiu przyrodzie i robi się w tym kierunku bardzo dużo, a jednak globalnie sytuacja ekologiczna jest coraz gorsza. Tyle działań, zabiegów, przedsięwzięć, a takie mizerne skutki.

Gdy się przyglądam tego rodzaju pomaganiu dostrzegam w nim dwa niebezpieczne założenia. Jedno mówi o tym, że ciągle trzeba coś robić (pomagać). Drugie, że my ludzie wiemy, co dla przyrody jest najlepsze. Oba te przekonania wzajemnie się dopełniają i tworzą zaiste wybuchową mieszankę, ponieważ stawiają nas – ludzi w szczególnie uprzywilejowanej pozycji i powodują nadmierne przywiązanie się do wiedzy, jaką zgromadziliśmy. Ostatecznie prowadzą do arogancji i przymusu kontroli nad rzeczywistością. W ten oto sposób myślimy, że technika uratuje nasz świat przed zagładą, choć to ona, póki co, odpowiedzialna jest za jego degradację. Dlaczego miałyby się to zmienić? Poza tym ciągle wydaje się nam, że jesteśmy najmądrzejsi i wiemy lepiej. Czy jednak wiemy, co jest najlepsze np. dla lasu? Wielu naukowców podkreśla, że ciągle niewiele wiemy, jak taki złożony ekosystem funkcjonuje, a zabieramy się za pomaganie mu.

Czy można inaczej? Wydaje mi się, że alternatywnym sposobem pomagania jest nie-działanie. Najlepszą chyba rzeczą, jaką możemy zrobić dla przyrody, to pozostawić ją sobie samej. Nie robić nic! Zaufać temu, co samo się dzieje. Powiedzieć sobie NIE WIEM, co dla ciebie jest dobre i dlatego właśnie pozwolę, aby rzeczy działały się samoistnie. Każdy system ma swoje własne mechanizmy samoregulacji, które są uruchamiane w sytuacji zakłócenia równowagi. Te mechanizmy są optymalne z punktu widzenia danego systemu, bo gdyby takie nie były, nie zostałyby uruchomione.

Takie pomaganie bez pomagania, choć wydaje się najprostsze, jest jednak niezwykle trudne, ponieważ, po pierwsze wymaga zaufania naturalnemu procesowi. Przyjmuję, że istnieje jakaś mądrość procesu, że zniszczenie i odrodzenie, to tylko cykliczne etapy w odwiecznym nurcie życia. Ufność jest tutaj podstawową akceptacją, zgodą na to, co jest, niezależnie od własnego widzimisię. Po drugie: to pomaganie wymaga rozpoznania własnych lęków i wyobrażeń, które zakłócają widzenie rzeczywistości. Możemy obawiać się, że jak nie będziemy ingerować, to wszystko się zawali, obumrze, zginie. Te obawy, z pewnością są irracjonalne i złudne, jak każdy lęk, bo jedyne, co nam grozi, to erozja naszych wyobrażeń na temat rzeczywistości, a nie samej rzeczywistości. I wreszcie po trzecie: pomaganie bez pomagania wymaga odpuszczenia sobie przymusu ciągłej kontroli tego, co jest. Ten przymus kontroli wynika właśnie z lęku i każe nam ciągle ingerować, zmieniać i wpływać na bieg rzeczy. Odpuszczając sobie kontrolę, jednocześnie pozwalamy życiu żyć. Życie bowiem żyje samo i z pewnością nie wymaga żadnych specjalnych zabiegów.

Jest takie buddyjskie powiedzenie:

Siedzę spokojnie, nie robię nic;

Przychodzi wiosna, trawa rośnie sama.

Kto wie, czy dokonanie tego nie jest jednocześnie największą pomocą, jaką można udzielić nie tylko światu, ale też i samemu sobie...



## Jaki jest związek religii (duchowości) z ochroną przyrody?

Pamiętacie biblijną historię wypędzenia człowieka z raju? Niezależnie od tego, czy jesteście wierzący czy nie, historia ta niesie niezwykle interesujący przekaz dotyczący naszej kondycji w świecie. Otóż człowiek będąc w raju był w doskonałej harmonii i jedności ze wszystkim co jest. Moment grzechu pierworodnego oraz jego konsekwencja, czyli wypędzenie z raju są jednocześnie faktycznymi narodzinami człowieka jako istoty samoświadomej (sposstrzega że jest nagi, doświadcza wstydu i poczucia winy) i wolnej (teraz może już wybierać między dobrem i złem). Ale też zdarzenia te stanowią bolesne zerwanie pierwotnych więzi z Bogiem jako rzeczywistości nadprzyrodzonej, z naturą jako rzeczywistości przyrodzonej, materialnej oraz z samym sobą rozumianym jako Wielkie Ja.

To zerwanie stawia nas w trudnej sytuacji, bo spostrzegamy swoje oddzielenie i czujemy w związku z tym swoją małość, samotność, pustkę i lęk. Co robić? Jak żyć? Co jest ważne, właściwe? Nagle zadajemy sobie te wszystkie pytania, które wcześniej w raju nie miały żadnego sensu, bowiem byliśmy całością, w której nie było żadnych wątpliwości.

Ten doskonały, rajski stan jest naszą najgłębszą tęsknotą. Jak go osiągnąć? Jak ponownie stać się jednością w Bogu, w przyrodzie, w samym sobie?

Generalnie dostrzegam dwie zasadnicze drogi, którymi kroczą ludzie kierowani tą tęsknotą.

Pierwsza opiera się na zdobywaniu brakującej mocy, znaczenia i jedności poprzez skupianie się na oddzielnym (małym) „ja”. To droga zdobywania kontroli nad światem, afirmowania wolności jako narzędzia zaspokajania własnych zachcianek, pragnienia wygody i dążenia do przyjemności. Krocząc tą drogą wierzymy, że zbudujemy raj poprzez zdobycie władzy i kontroli nad całym światem oraz poprzez maksymalizację szczęścia.

*Ochrona przyrody jest sprawą Ducha, a praktykowanie jej w ten sposób jest jedną z ważnych dróg dochodzenia do własnej Pełni*



Jeżeli świat legnie u naszych stóp i będzie taki, jak go sobie wymyśliśmy, dopiero wtedy będziemy mogli odpocząć w spokoju. Póki co, walka i zmaganie się z rzeczywistością są wpisane w tę ścieżkę postępu za wszelką cenę. Będąc na niej posiłkujemy się naszym intelektem wierząc w jego cudowną moc oraz moc tego, co jest jego produktem: rozwój technologiczny, rozwój nauki, własna pomysłowość i inteligencja. Wierzymy w swoją potęgę, mamy przekonanie, że nikt nie jest nam potrzebny i że nasze najważniejsze „rajskie” aspiracje sprowadzają się do tego, żeby dużo mieć i dobrze się czuć. Stąd też wierzymy, że nieokiełznana konsumpcja da nam wszystko, czego tylko zapagniemy, zaspokoi nasze duchowe tęsknoty.

Ta droga oparta jest na założeniu, że nasze małe „ja” można nadąć władzą i posiadaniem do takich rozmiarów, że w końcu obejmie ono cały świat i rozwiąże nasze problemy. Niestety to przekonanie jest z gruntu fałszywe, bowiem samo istnienie „ja”, jako czegoś oddzielnego jest iluzją. Dlatego też widzimy, że maksymalne bogactwo, władza i kontrola nie dają wcale spełnienia. Nasze małe „ja” przypomina raczej worek bez dna, którego nie da się wypełnić albo dziurawy balon, którego nie da się nadmuchać. Stąd krocząc tą drogą skazujemy się na permanentne nienasycenie, a świat na stopniową degradację w imieniu naszych niezaspokajalnych zachcianek.

Druga droga jest zaprzeczeniem pierwszej. Dostrzegamy w niej, że źródłem naszych wszystkich kłopotów jest właśnie poleganie na własnym, oddzielnym, małym „ja”, które było zarówno przyczyną jak i skutkiem grzechu pierworodnego. To właśnie przez nie wywalono nas z tej imprezy. Czy więc w nim mamy pokładać nasze nadzieje? Co nam pozostaje?

Każdy z aspektów naszego oddzielenia proponuje nam ścieżkę jedności. Wszystkie religie zdają się oferować człowiekowi bardzo podobny przekaz: „nie lękaj się, zaufaj, pozwól, aby działa się nie twoja wola, ale Moja”. To przymierze z Bogiem sprawdza się jedynie wtedy, gdy człowiek jest w stanie niejako wziąć w nawias swoje małe „ja” i w jego miejsce zainstalować Absolut, Boga – jakkolwiek pojmowanego. W kolejnym aspekcie przemawia do nas sama przyroda uświadamiając nam, że czy tego chcemy, czy nie, cały czas jesteśmy jej częścią i tak naprawdę nigdy nie wyszliśmy z raju. Natura jest również czymś większym od naszego małego „ja” i w tym sensie odkrycie jej w sobie jest jednocześnie procesem detronizacji aroganckiego, skupionego na sobie i oddzielnego, małego „ja”. Ten głos możemy też usłyszeć wnikliwie wsłuchując się w siebie czy badając własne „ja”. Ten aspekt to uświadomienie sobie, że nasze małe „ja” jest złudzeniem oraz żalosną zbroją, która miała chronić nas przed konsekwencjami oddzielenia, a sama stała się jego przyczyną. Gdy rozwiewa się mgła iluzji zaczynamy dostrzegać nasze Wielkie Ja, które łączy nas ze wszystkim co jest. Te trzy aspekty: Bóg, Natura, Wielkie Ja, jakkolwiek opisuję tutaj odrębnie, to stanowią one tę samą rzeczywistość. Wszystkie mają charakter duchowy w tym sensie, że w relacji do nich odwołujemy się do czegoś większego, do czegoś, co nas przekracza i jednocześnie obejmuje, a czego nawet nie jesteśmy w stanie poznać naszym ograniczonym rozumem.

Jaki to wszystko ma związek z ochroną przyrody? Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że afirmując swoje małe „ja” - niszczy przyrodę. To tak jakby nagle wątroba ogłosiła niezależność i uznała, że może bezkarnie eksploatować inne organy i cały organizm. Zauważcie też, że w działaniach ochroniarskich, jak w soczewce skupiają się te dwa różne podejścia. Z jednej strony chronimy przyrodę przede wszystkim dla nas samych, my sami też decydujemy jak ona powinna wyglądać. Podpieramy się tutaj badaniami, wynikami, koncepcjami, interesami i cały czas zmagamy się z jakimś oporem materii (szkodników, gatunków inwazyjnych, klęsk naturalnych, itp.), która przeszkadza nam w tym, by świat był taki, jak go chcemy zaplanować. We wszystkich tych zabiegach słychać bardzo wyraźnie: „ja”, „ja”, „ja”.

Konkurencyjne podejście opiera się na założeniu, że ochrona nie służy czemuś, nie tyle służy nam, ile jest czymś wartościowym sama w sobie, niejako ze względu na przyrodzoną wartość tego, co jest. Zatem motywem nie jest nasze małe „ja”, ale coś większego. Poza tym w działaniach ochroniarskich podchodzimy z dystansem do naszej wiedzy na temat świata, zdając sobie sprawę z jej ograniczoności i niedoskonałości. Gdy mówimy „nie wiem” zdajemy się po raz kolejny na coś, co jest większe od nas samych. Jeżeli mówimy tutaj, że chronimy proces, jako manifestację całości, to najlepszą strategią jest ograniczenie, a nawet zaniechanie jakichkolwiek działań, po to, by bez naszej ingerencji zdarzyło się to, co ma się zdarzyć, żeby lasy, góry, torfowiska, rzeki i relacje między różnymi elementami świata były takie, jak chce tego naturalny proces. Jak widać w tym podejściu obecne jest zaufanie i pokora wobec czegoś, co nas przerasta, jest od nas większe. W tym sensie to podejście jest prawdziwie religijne, bowiem zakłada rezygnację z przymusu kontroli rzeczywistości i pozwala z wiarą, nadzieją i miłością zdać się na proces, który „wie” lepiej.

Tak, ochrona przyrody jest sprawą Ducha, a praktykowanie jej w ten sposób jest jedną z ważnych dróg dochodzenia do własnej Pełni.





## Czy chrześcijaństwo sprzyja niszczeniu przyrody?

W latach sześćdziesiątych XX w. prestiżowe czasopismo Science opublikowało artykuł Lynn White'a, który wywołał burzę wśród osób zajmujących się problematyką środowiskową. W rzeczonym tekście White postawił tezę, mówiącą że jedną z podstawowych przyczyn globalnego kryzysu ekologicznego są przekonania i wierzenia ludzi co do ich relacji ze środowiskiem naturalnym. Źródłem tych przekonań są zaś przekazy religijne, a te w religiach chrześcijańskich stawiają człowieka w pozycji istoty, która ma władzę i może eksploatować Ziemię zgodnie ze swoimi potrzebami. „Czyńcie sobie ziemię poddaną” mówi Bóg do ludzi i to właśnie zdanie najpełniej wyraża stosunek chrześcijan do przyrody.

White zwraca również uwagę na inne elementy, które przyczyniają się do negatywnego stosunku wobec środowiska u chrześcijan. Otóż człowiek jako jedyna istota zostaje stworzony na podobieństwo Boga, co daje mu uprzywilejowaną pozycję i przyzwolenie na podporządkowywanie sobie wszystkiego innego. Bóg w religiach chrześcijańskich jest poza przyrodą, co skutkuje jej desakralizacją, odebraniem jej szczególnego świętego wymiaru. Bóg daje też wyraźne przyzwolenie człowiekowi, by ten rozwijał się i umacniał swoją pozycję praktycznie bez żadnych ograniczeń. Wcześniejszy, pogański porządek, w którym dominowało myślenie cyrkularne oparte na rytmach przyrody zostało zastąpione myśleniem linearnym dającym z jednej strony podstawę do rozwoju nauki i technologii, a z drugiej uzasadniającym myślenie w kategoriach rozwoju za wszelką cenę, który jest mantrą współczesnego świata. I na koniec, doktryna chrześcijańska jest skrajnie nietolerancyjna wobec innych religii, ponieważ zawarte jest w niej przekonanie o posiadaniu jedynej prawdy. Z tego powodu chrześcijaństwo w średniowieczu wyrugowało często w krwawy sposób pogaństwo, które było bardziej ekologiczne.

Jak widać sporo jest tych zarzutów i na pierwszy rzut oka są dość przekonywujące. Ale, gdy głębiej wniknąć w ten problem pojawiają się wątpliwości. Przede wszystkim chrześcijaństwo nie jest jednolite, ostatecznie

*Jakkolwiek pamiętamy o św. Franciszku, to jego postawa jest dość odosobniona*

rozpadło się bowiem na trzy główne nurty: prawosławie, katolicyzm i protestantyzm. Biorąc ten podział pod uwagę, widać wyraźnie, że między tymi nurtami są spore różnice w podejściu do przyrody. Wschodnie, ortodoksyjne chrześcijaństwo (prawosławie) jest bardziej niż zachodnie kontemplacyjne i dlatego może postęp cywilizacyjny na wschodzie nie posunął się aż tak daleko, jak na zachodzie, co skutkowało mniejszą degradacją środowiska naturalnego.

Poza tym mamy na świecie wiele krajów niechrześcijańskich, w których rozwój i co za tym idzie zniszczenie przyrody postępowało równie, jak nie bardziej dynamicznie niż na zachodzie. Takimi krajami są np. buddyjska Japonia czy Korea Południowa. Innymi słowy, ludzie wszędzie niszczą przyrodę niezależnie od tego, w co wierzą.

Do tego wszystkiego w łonie kościoła katolickiego mamy przecież postać św. Franciszka z Asyżu, ogłoszonego przez Papieża Jana Pawła II patronem ekologów.

Św. Franciszek swoimi modlitwami oraz życiem udowodnił, że głęboko wierzący katolik może prawdziwie kochać i szanować wszystkie istoty traktując je jako swoich braci i siostry. Św. Franciszek zdaje się mówić, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Ojca i właśnie poprzez to pokrewieństwo każdemu życiu, a nawet materii nieożywionej (np. słońcu czy księżycowi) należy się troska i szacunek. Postać świętego była i ciągle jest też inspiracją dla wielu współczesnych katolików, którzy wypowiadają się w duchu franciszkańskiego ekologizmu. Taką postacią był z pewnością też nasz papież – Jan Paweł II, którego ekologiczne przesłania są znane, choć wydaje się, że ciągle w niewystarczającym stopniu.

Jak więc sobie poradzić z tymi różnymi sprzecznościami? Teza Lynn White'a od czasów opublikowania prowokuje wiele ideologicznych sporów, ale też zainicjowała wiele badań nad postawami wobec przyrody u przedstawicieli różnych religii, których wyniki wolne od ideologicznych naleciałości pokazują, jaki jest rzeczywisty stosunek różnych grup religijnych do przyrody. I co się okazało? Otóż generalnie rzecz biorąc najmniej pozytywne postawy reprezentują protestanci oraz żydzi. Najbardziej zaś pozytywne postawy wobec przyrody charakteryzują osoby spoza religii chrześcijańskich. O czym to świadczy? Rzeczywiście w hipotezie White'a jest jakieś ziarno prawdy. Biblijny przekaz, jeśli przyjąć go dosłownie (tak jak jest on często traktowany przez protestantów) może być fundamentem, na którym budują się przekonania antropocentryczne, a te przynajmniej w jakimś stopniu sprzyjają eksploatacyjnemu podejściu do przyrody. Problem jest taki, że Biblia zawiera mnóstwo różnorodnych przekazów, które mogą być różnie interpretowane. Ostatecznie trudno je sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika w takim sensie, że doświadczanie wiary, w tym przekonania religijne mają charakter subiektywny i za każdym razem tworzą inną odpowiadającą konkretnemu człowiekowi konstelację. W ten oto sposób mamy grupy protestantów, którzy z hasłem „pracuj i bogać się” przyczyniły się do podboju Ameryki Północnej i stworzenia kapitalistycznego modelu rozwoju, który w obecnym świecie stał się dominujący. Z drugiej strony mamy św. Franciszka – ascetę, który żył z jałmużny, nie posiadał niczego na własność, rozmawiał z ptakami i zachwycał się źdźbłem trawy jako manifestacją Boga. Te dwie skrajne postawy mają swoje uzasadnienie w Piśmie Świętym. Pozostaje więc pytanie, które z nich dzisiaj nas bardziej inspirują, które są bardziej powszechne i których bardziej potrzebujemy.

I tutaj chyba nie będziemy mieć żadnych wątpliwości. Jakkolwiek pamiętamy o św. Franciszku, to jego postawa jest dość odosobniona. Stanowi raczej wyjątek od reguły niż drogę, którą chciałoby iść wielu. Wielu bowiem chce iść drogą postępu, dobrobytu, dominowania i eksploatawania. I oni zawsze mogą powiedzieć tak, jak pewien ksiądz, co to przy poświęcaniu (sic!) nowo otwartego hipermarketu wycedził: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”.

Chrześcijaństwo jest raczej niewinne. To ostatecznie każdy z nas tworzy swoją wiarę.



## Co jest naturalnym środowiskiem człowieka?

Wyobraź sobie otoczenie, w którym czujesz się dobrze, w którym możesz w pełni realizować siebie. Co takiego zobaczysz? Czy będzie to wiejski krajobraz, wybrzeże morza, górskie szczyty, wijąca się rzeka, szumiący las, a może autostrada, zatłoczone centrum miasta, szklano-betonowe biurowce, dymiące kominy zakładów przemysłowych?

Świat, który stworzyliśmy w zamierzeniu miał w najwyższym stopniu sprzyjać naszym potrzebom. I rzeczywiście, z punktu widzenia przetrwania, sukcesu ewolucyjnego gatunku, wygraliśmy. Podporządkowaliśmy w znacznym stopniu naturę i stworzyliśmy sztuczne środowisko, dzięki któremu żyjemy dłużej i wygodniej. Dlatego środowisko naszego życia, które w przeważającej mierze jest środowiskiem miejskim, jakkolwiek w niewielkim stopniu ma związek z naturą, jest naszym środowiskiem naturalnym. Tak, domy, ulice, osiedla, pędzące samochody, wielkie centra handlowe są obecnie naturalnym środowiskiem człowieka.

Nasz stosunek do własnego środowiska jest jednak mocno ambiwalentny. Z jednej strony życie w miastach daje nam możliwość kształcenia się, pracy, rozrywki, opieki medycznej oraz szczególnej wolności, to jednak z drugiej strony, wiemy ile patologii to samo miasto generuje. Przemoc, anonimowość, brak więzi społecznych, pośpiech, zanieczyszczenie środowiska, hałas, to tylko niektóre z najważniejszych zjawisk, które niekorzystnie na nas oddziałują.

Co wynika z tego bilansu? Czy ostatecznie żyjąc w miastach mamy to, czego naprawdę chcieliśmy? Czy nasz sposób życia w owym naturalnym środowisku sprawia, że nasze potrzeby mogą być w pełni zaspokojone? Czy żyjąc w miastach możemy w pełni realizować siebie? Czy długość życia i wygodność są jedynymi i najważniejszymi kryteriami jakości tegoż życia?

*Najbardziej pociągają nas krajobrazy, w których obecna jest woda, kontrastowe elementy, takie, jakie występują między szczytem góry a doliną oraz miejsca porośnięte naturalną roślinnością*



Badania psychologów wskazują, że ludzie niezależnie od kultury i tego, gdzie mieszkają, preferują dość podobne miejsca. Najogólniej rzecz biorąc bardziej podoba się nam otoczenie naturalne niż to zmienione przez człowieka. Najbardziej pociągają nas krajobrazy, w których obecna jest woda, kontrastowe elementy, takie, jakie występują między szczytem góry a doliną oraz miejsca porośnięte naturalną roślinnością (szczególną rolę odgrywają tutaj drzewa). Te uniwersalne preferencje są prawdopodobnie naszym gatunkowym dziedzictwem. Historia człowieka zamyka się bowiem w przedziale kilku milionów lat. To zaś, co traktujemy jako historię znanej nam cywilizacji trwa mniej więcej od 10 tysięcy lat, czyli stanowi mniej niż 1% drogi, jaką przeszliśmy jako gatunek w ewolucyjnej podróży. Całe nasze ciało, procesy fizjologiczne, mózg z jego różnorodnymi funkcjami, przystosowane są do życia w miejscach i otoczeniu, które było naszym naturalnym domem przez niezwykle długi okres czasu. Woda, pożywienie i schronienie, to były dla nas podstawowe wartości ze względu, na które ocenialiśmy atrakcyjność jakiegoś miejsca. I o ile dzisiaj już mamy wodę w kranie, jedzenie kupujemy w sklepie, a mieszkamy w domach, w miastach, to wciąż podświadomie tęsknimy za naturalnymi miejscami, które przywołują w nas wspomnienie utraconego raju.

Gdybyśmy uważnie wsłuchali się w tę podświadomą tęsknotę i jednocześnie głos naszego ciała, usłyszeliśmy prawdopodobnie przerażający skowyt cierpienia. Nasze kręgosłupy źle znoszą ciągłe siedzenie, nasze serca nie tolerują pośpiechu i braku odpoczynku, nasze nogi chcą chodzić a nie wozić się, nasze żołądki chcą jeść proste jedzenie, a nasze mięśnie chcą być aktywne. W tym sensie najbliższy nam kawałek dzieł przyrody, jakim jest nasze ciało pokazuje w jak nienaturalnym jednak środowisku żyjemy. Ten płacz naszego ciała jest też płaczem przyrody. Jest głosem cierpiącej Ziemi, który każdy z nas w sobie nosi. Bo to, co robimy naszym ciałom, jednocześnie czynimy naturze.

Ilu z nas jednak wróci na drzewo, do jaskini czy choćby do lasu? Czy możliwy jest jakiś powrót? Jesteśmy w tym wszystkim strasznie rozdwojeni, bo na swój sposób lubimy to wygodne życie, choć z drugiej strony tęsknimy za tym, co bezpowrotnie utraciliśmy. Zaprzędaliśmy duszę diabłu i kroczymy konsekwentnie za wizją coraz bardziej nierzeczywistego świata. I wydaje się, że powrotu nie ma. Nie wrócimy na sawanny, nie będziemy już zbierać i polować, choć do tego najbardziej się nadajemy. Ten świat, który znamy obecnie nie będzie też inny niż jest. Utraciliśmy raj. Pozostała tęsknota. Dlatego, jakkolwiek może to brzmieć smutno i tragicznie, wybetonowany świat obecnie jest naszym naturalnym środowiskiem, choć nie za bardzo się do niego nadajemy.

Dlaczego jednak wyszliśmy z tego raju, lub dlaczego nas z niego wyrzucono (jak chce większość wielkich religii)? To pytanie, to wielka tajemnica dotycząca źródła grzechu i pochodzenia zła. I mimo, że podsuwa się nam tutaj wiele różnych odpowiedzi, to mam wrażenie, że nie jesteśmy w stanie ogarnąć tej tajemnicy naszym ograniczonym rozumem. Chociażby z tego powodu, że i on został odłączony od Całości, jak więc miałby ją pojąć. Tak czy owak to pęknięcie nastąpiło raczej w naszym wnętrzu, w naszej świadomości, a ze-wewnętrzny świat, jaki tworzymy – nasz ludzki świat jest tylko manifestacją owego wewnętrznego pęknięcia. W Naturze jest miejsce na wszystko, w tym również na jakąś formę oddzielenia od natury. Jakże są jednak tego konsekwencje?

Wyobraziłem sobie, że za kilka setek lat naturalnym środowiskiem życia człowieka będzie rzeczywistość wirtualna, w której będziemy zaspokajać wszystkie nasze potrzeby jednym kliknięciem jakiegoś urządzenia. Środowisko to będzie naturalne, bo w nim będziemy żyć. Jednocześnie będzie to skrajny wyraz naszego oddzielenia od realnego świata. Może nawet nie będziemy go już potrzebować w ogóle. A raczej będzie nam się wydawać, że go już nie potrzebujemy.

Rozstanie się z realną rzeczywistością jest bowiem rozstaniem się z życiem. I to również jest jak najbardziej naturalny proces, na końcu którego jest wypadnięcie z ewolucyjnej gry. Ile czasu nam jeszcze zostało?



## Czym jest wolność?

Można by rzec, że wolność jest kluczową sprawą współczesnego świata. Ludzie zabiegają o wolność, afirmują wolność, walczą o wolność. Jednocześnie – z drugiej strony - dla wielu z nas wolność jest trudnym brzemieniem. Przypomnij sobie, jak czasami się wahasz, bijesz z myślami, nie wiesz, co zrobić. To całe życiowe miotanie się jest właśnie skutkiem posiadania możliwości wyboru.

Świat przyrody doświadcza naszej – ludzkiej wolności w sposób bolesny. Realizując własne wizje i zamierzenia, rzadko bierzemy pod uwagę interes przyrody, dlatego konsekwencje naszych działań często powodują negatywne skutki w dłuższej perspektywie czasowej i w szerszej skali. Dzieje się tak, ponieważ nasz osobisty interes zwykle stoi w sprzeczności z dobrem ogółu.

Dochodzimy tutaj do zasadniczej kwestii: o wolności możemy mówić o tyle, o ile mamy do czynienia z indywidualnym, wyodrębnionym „ja”. „Ja” doświadcza-  
jąc swojej „osobności” uświadamia sobie, że ma możliwość wyboru. „Ja” zawsze posiada jakieś preferencje, chęci, czy widzimy się. Wolność jest właśnie możliwością realizowania tego własnego interesu. Innymi słowy wolność istnieje wyłącznie w świecie oddzielnego „ja”. Im więcej oddzielenia, tym więcej wolności, ale też, tym większa potrzeba wolności i presja, by powiększać jej zakres. To zjawisko widać bardzo wyraźnie, gdy przyjrzymy się różnym kulturom zamieszkującym Ziemię. Najwięcej o wolności mówi się w kulturze amerykańskiej, która jednocześnie jest jedną z najbardziej indywidualistycznych kultur, jakie widział świat.

Czyż jednak oddzielenie nie jest naszą podstawową iluzją? Jeżeli tak rzeczywiście jest, to również wolność traci swoje znaczenie. I rzeczywiście, w kulturach kolektywistycznych, w których człowiek spostrzega siebie zawsze w kontekście grupy czy środowiska fizycznego, wolność, jako pojęcie i wartość właściwie nie istnieje. Nie istnieje, bo człowiek robi, to, co do niego należy i do głowy mu nie przychodzi, że może być inaczej.

*Gdy identyfikujemy się z nadrzędną całością, to otwiera się taka przestrzeń wolności, o której nasze małe „ja” śnić nigdy nie mogło. To prawdziwa wolność od przymusu bycia wolnym*

Zobaczmy, że podobnie działa przyroda. Wilki nie zasiadają przed polowaniem i nie debatują, czy dzisiaj wolą zjeść dzika czy jelenia. Po prostu polują i łapią tą zdobycz, którą łapią. Rosnący dąb nie zastanawia się czy może wypuścić dodatkową gałązkę z południowej strony. Po prostu rośnie, czyli robi, to, co robi. Również płynący w górach strumyk nie musi podejmować suwerennej, wolnej decyzji czy ominąć przeszkodę z lewej czy z prawej. Po prostu płynie i bez żadnych wątpliwości wybiera jedyną możliwą drogę.

We wszystkich tych przykładach pojawia się ważny wspólny mianownik. Otóż poszczególne elementy przyrody działają w określony sposób zawsze wynikający z uwarunkowań środowiskowych: (w pewnym uproszczeniu) wilki zapolują na najłagodniejszego jelenia, dąb wypuści tam gałązkę, gdzie jest najwięcej światła, a potok dostosuje swoje koryto do ukształtowania terenu. W ten sposób wybory różnych organizmów (ale też nieożywionych elementów przyrody) nigdy nie są suwerenne i nigdy też nie stoją w sprzeczności z dobrem całości. Jest tak, ponieważ wszystko przenikając się wzajemnie wpisuje się w mądrość nadrzędnej całości, w której poszczególne części nie są traktowane jako niezależne i oddzielone. W tym świecie nie ma żadnej wolności – w naszym, ludzkim rozumieniu tego słowa. Ale jednocześnie jest niezwykle porządek i harmonia.

A my jesteśmy wolni i ciągle musimy zastanawiać się nad tym jak żyć, co będzie dla nas dobre, co powinniśmy jeść, jak wyglądać, co robić. Co robić droga redakcyjna?

A może by tak uwolnić się od tego kieratu wolności. Może w końcu przestać być niewolnikiem własnego widzimisię, własnej wolności...

Bo tak naprawdę jesteśmy podobni do tego górskiego potoku, który płynie tak jak płynie, wybierając jedyną drogę bez żadnych wątpliwości. Jesteśmy jak ten dąb - wypuszczający gałązkę dokładnie w tym kierunku i o tym czasie, w którym to robi - bez żadnych wątpliwości. I robiąc to, co robimy, nie musimy też zastanawiać się, czy będzie to zgodne z interesem przyrody, bo zawsze jest zgodne, tak jak w przypadku potoku, wilka czy drzewa. Ale żeby tak rzeczywiście było, trzeba, żebyśmy rozstali się ze swoim oddzielnym, wolnym „ja” i zidentyfikowali się z nadrzędną całością.

Tam dopiero otwiera się taka przestrzeń wolności, o której nasze małe „ja” śnić nawet nigdy nie mogło. To prawdziwa wolność od przymusu bycia wolnym...





## Czym jest szczęście i co jest jego źródłem?

Czy szczęście jest krótkotrwałą przyjemnością, czy czymś bardziej głębokim i stabilnym? Jeżeli jest tym drugim i dodatkowo zdefiniujemy je jako stan umysłu, jako poczucie dobrostanu lub spokoju umysłu, to, czego potrzebuję, żeby już teraz być szczęśliwym? Może potrzebuję pieniędzy albo pracy, może potrzebuję zdrowia, może większego mieszkania lub domu. A może potrzebuję innej osoby. Każdy z nas miałby z pewnością całą listę tych warunków, które mają dać spokój umysłu i poczucie szczęścia. Moglibyśmy nawet urządzić swego rodzaju licytację: czyje szczęście kosztuje więcej; kto musi spełnić więcej warunków, żeby w końcu to poczuć.

Cała nasza cywilizacja uczestniczy w tej licytacji. Rozwój cywilizacyjny, to przecież nic innego, jak tworzenie coraz to nowych warunków, których spełnienie ma przyczynić się do poczucia szczęścia. Przyjrzyjmy się temu krótko. Mniej więcej dwieście, trzysta lat temu rozpoczął się szybki rozwój technologiczny. W XX w. proces ten nabrał dodatkowo gwałtownego przyspieszenia. I co? No tak, trudno zaprzeczyć temu, że żyje się nam wygodniej i lepiej. Średnia długość życia się wydłużyła, zwalczyliśmy wiele chorób, możemy rozkoszować się materialnym dobrobytem. A jednak... pod tą fasadą widać, jak gwałtownie spada bioróżnorodność, wokół nas, w powietrzu, glebie i wodzie jest mnóstwo trucizn, zasypujemy się górami śmieci, niepokojąco zmienia się klimat, a my stajemy się coraz bardziej uzależnieni od różnych poprawiaczy nastroju. Jesteśmy depresyjni lub neurotyczni lub po prostu nieszczęśliwi, bo mimo, że mamy sporo, to ciągle wydaje się nam, że za mało albo że inni mają jeszcze więcej niż my.

Mnożenie warunków szczęścia materialnego oraz próba ich spełnienia niechybnie związana jest z kosztami, jakie ponosi cała biosfera. Im więcej warunków tym większe koszty - również te, które my ponosimy. Spotykamy się tu z pierwszym paradoksem: im nasze szczęście więcej kosztuje, tym narażamy siebie i innych na większe nieszczęście.

*Prawdziwe szczęście i spokój umysłu, to nasz naturalny stan, niezależny od zewnętrznych warunków*

Poza tym trzeba się zapytać, czy jakość życia rzeczywiście polepszyła się w porównaniu z minionymi czasami? Niekoniecznie, bo, po pierwsze: pojawiło się mnóstwo problemów środowiskowych, o których pisałem wcześniej, a po drugie doświadczany dobrostan nie jest kategorią obiektywną. Jest raczej subiektywnym poczuciem i wynika przede wszystkim z porównań społecznych. Oznacza to, że ten, kto ma więcej może być bardziej nieszczęśliwy od tego, kto ma mniej, jeżeli porównuje się z innymi, którzy mają jeszcze więcej. Zatem nie tyle spełnienie warunków szczęścia decyduje o dobrostanie, a raczej to, z kim i jak się porównujemy. To drugi paradoks szczęścia: im bardziej windujemy w górę warunki, od których zależy nasze szczęście (rosną nasze oczekiwania), tym bardziej czujemy się nieszczęśliwi.

Tak oto nasze potrzeby materialne zaspokojone są aż w nadmiarze, a my ciągle jesteśmy niespełnieni i gnamy za szczęściem i dobrostanem. W pewnym sensie sami wpakowaliśmy się w cywilizacyjną pułapkę. Wierzmy, że rozwój materialny zapewni nam szczęście, choć to właśnie ten rozwój odpowiedzialny jest za to, że coraz trudniej jest nam osiągnąć ten stan. To prawdziwa ślepa uliczka. Jak się z niej wydostać?

Trzeba sobie jeszcze raz jasno powiedzieć, że łączenie szczęścia czy spokoju umysłu z zaspokojeniem warunków, które stawiamy szczęściu jest błędem. Nasz świat zmienił się diametralnie w przeciągu kilkuset lat, choć niekoniecznie ludzie stali się bardziej szczęśliwi. Gdy nie było jeszcze telefonów komórkowych, czy wtedy ludzie byli mniej szczęśliwi niż teraz? A przecież telefony pojawiły się jako kolejne urządzenie, dzięki któremu nasze życie miało być bardziej szczęśliwe.

Ciągle wierzymy w to, że szczęście i spokój umysłu są czymś, do czego można dążyć i w końcu to osiągnąć. To przekonanie jest jednym z najbardziej niebezpiecznych złudzeń, którym ulegamy. Bowiem szczęścia i spokoju umysłu nie można po prostu osiągnąć. To nie jest coś, co możemy mieć, gdy coś się spełni. Jeżeli tak myślimy, to zawsze będziemy skazywać się na niespełnienie. Szczęście nie zależy od niczego. Prawdziwe szczęście i spokój umysłu, to nasz naturalny stan, niezależny od zewnętrznych warunków. Nawet od zdrowia i posiadania kogoś bliskiego, nie wspominając już pieniędzy. W związku z tym nawet nie warto o nim mówić, czy zastanawiać się nad nim.

Spokój umysłu jest akceptacją tego, co jest. Bez żadnych warunków. Bez własnego widzimisię, bez lubię – nie lubię, bez ładne – brzydkie, dobre – złe.

Nie potrzebuję niczego, żeby już teraz mieć spokojny umysł. Nawet, jeżeli leżę na łożu śmierci. Jak wyglądałby świat, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy potrafili tak żyć?



## Dlaczego ludzie kupują tyle rzeczy?

Czy znasz to uczucie ekscytacji i zadowolenia, kiedy stajesz się właścicielem jakiegoś produktu? Każdy z nas je zna. Nowe buty, nowy komputer, telewizor, sprzęt grający, samochód. Nowe jest piękne, nowe jest dobre. To uczucie ekscytacji dodatkowo podsycane jest przez ciągły przekaz, który płynie z mediów, billboardów, ale także obserwacji innych ludzi; cała nasza rzeczywistość zadaje się wołać: „kupuj!” Istnieje ogromna rzesza ludzi, którzy mówią nam, że czeka nas coś naprawdę przyjemnego, gdy kupimy to, co nam oferują.

Czy jest w tym coś złego? Przecież trzeba jakoś żyć, ułatwiać sobie codzienną egzystencję. Poza tym wiele z tych nowych rzeczy bardziej chroni środowisko.

Dzięki kupowaniu możliwy jest postęp, co oznacza, że nasz świat jest coraz lepszy, coraz doskonalszy, a my możemy rozkoszować się wygodą, komfortem i dobrostanem. Mamy lepsze, bardziej ekologiczne samochody, lepsze telefony, szybsze komputery, inteligentne pralki, smaczniejsze jabłka, bardziej odżywcze soki, czy tańsze produkty.

Tak, mamy mnóstwo powodów, które uzasadniają naszą konsumpcję i rozgrzeszają nas z jakiegoś czającego się poczucia winy. Bo przecież za nasz dobrobyt płacimy cenę: jest nią zdegradowane środowisko, góry śmieci, wymierające gatunki, które nie wytrzymują naporu cywilizacyjnej presji, czy zmiany klimatu, których konsekwencją może być globalna katastrofa. Jest też cena bardziej doraźna: to wiele patologii społecznych powstających na fundamencie różnic majątkowych. Warto też tutaj wspomnieć o osobistych kosztach, jakie ponosimy uczestnicząc w tym szaleństwie: choroby (np. otyłość), permanentne przemęczenie z zapracowania (bo trzeba przecież zarabiać pieniądze na zakupy) czy ciągły lęk przed tym, że utraci się to, co się posiada.

Trzeba też sobie jasno powiedzieć, że gdyby wszyscy ludzie na Ziemi chcieli żyć tak, jak np. my w Polsce, jak Ty i ja, to nasza biedna planeta by tego nie wytrzymała. Mimo to ciągle podstawową wartością jest wzrost

*Konsumpcyjne szaleństwo wydaje się być nieadekwatnym sposobem rozwiązania naszej najbardziej podstawowej, duchowej tęsknoty*



gospodarczy i przekonanie, że kupowanie rzeczy jest świętym obywatelskim obowiązkiem, bo dzięki niemu budżet państwa ma więcej pieniędzy. Uważamy też, że należy pomagać biednym krajom, aby ludzie tam żyjący osiągnęli dobrobyt, czyli żeby żyli życiem podobnym do naszego. Ostatecznie sprowadza się to do ulegania nieokiełznanej konsumpcji. Tak oto zawrotną karierę robi ideologia samozagłady!

Ale dlaczego? Co nas pcha do tego konsumpcyjnego szaleństwa? Odpowiedzi tutaj może być z pewnością wiele, pozwólcie więc, że podzielę się tylko jedną z nich.

Otóż nasza nadkonsumpcja jest wyrazem tęsknoty za Pełnią. Zobaczmy, że ludzie identyfikują się często z tym, co posiadają. Telewizor, pralka, samochód stają się częścią naszej tożsamości. Dowodem na to jest rozpacz czy smutek, który pojawia się w momencie utraty lub zniszczenia danego przedmiotu. Trochę to wygląda tak, jakbyśmy tracąc to coś, tracili część siebie. Z pewnością znasz to uczucie żalu po stracie czegoś materialnego.

Dlaczego rzeczy stają się częścią nas? Dlatego, że nie są częścią nas! Jesteśmy przecież oddzieleni; jesteśmy my i jest świat; jestem ja i jest to wszystko, co na zewnątrz. To nasze oddzielenie wydaje się czymś bardzo oczywistym, jest bowiem naszym codziennym doświadczeniem. Stąd bardzo trudno jest je zakwestionować. A jednak, ta granica między „ja” i „nie-ja” prawdopodobnie jest naszą podstawową iluzją. Naprawdę bowiem nie ma żadnego oddzielenia. Tak jak komórka nie jest oddzielona od organizmu, tak też i my jesteśmy jednym z całym światem. Tak, jak istotą fali jest woda, zatem fala i morze nie są czymś oddzielnym, tak też i my stanowimy całość z tym, co nas otacza. Jeżeli zaś ulegamy iluzji oddzielenia, to pojawia się samotność, poczucie nieadekwatności, lęk, rozpacz i smutek. I jeszcze ogromna tęsknota, żeby przekroczyć to samoograniczenie i na powrót połączyć się ze wszystkim. Ta tęsknota i idący za nią głód jest chyba głównym motywem wchłaniania w siebie coraz to nowych rzeczy. Mamy ciągle nadzieję, że posiadając ich więcej i więcej staniemy się pełnijsi. Że wy-Pełni się ta przerażająca czarna otchłań. Czy tak się jednak dzieje? Nie! I widać to na każdym kroku. Ci, którzy mają bardzo dużo bynajmniej nie są nasyćeni. Tego braku, z którym chodzimy, nie da się zapełnić. Ten brak jest bowiem workiem bez dna; prawdopodobnie musielibyśmy wchłonąć cały wszechświat, żeby się w końcu nasycić. Musielibyśmy na powrót stać się Całością ze wszystkim, co jest, żeby w końcu uspokoić ten wewnętrzny głód.

Inaczej mówiąc, konsumpcyjne szaleństwo wydaje się być nieadekwatnym sposobem rozwiązania naszej najbardziej podstawowej, duchowej tęsknoty – dążenia do Pełni. Nasz konsumpcjonizm jest daremną próbą rozwiązania dylematu egzystencjalnego, który faktycznie nie istnieje. Nasze oddzielenie, samotność, głód i próby przekraczania go są bowiem grą iluzji. Dlatego właśnie świat ulega degradacji. Przyroda nie znosi kłamstwa i rozstaje się w końcu z tymi, którzy nie respektują jej praw, którzy nie widzą tego, co jest.

Jak więc inaczej rozwikłać ten dylemat, jak zaspokoić tę duchową tęsknotę?

Jeżeli założymy, że oddzielenie jest iluzją, to tak naprawdę nic nie musimy z nim robić. Żeby powrócić do Pełni nie trzeba nic robić. Wcale nie trzeba do niej powracać. Przecież już tam jesteśmy. Trzeba to tylko zobaczyć w przebłytku oczywistości.

Idąc na zakupy trudno o ten przebłytek. Ale może się on pojawić, gdy pozwolimy sobie doświadczyć tej przeraźliwej pustki, która czai się za kolejną, daremną próbą wypełnienia braku. Doświadczyć w pełni braku, nie uciekać od niego – oto jest droga do wyzwolenia.



## Czy poprawa sytuacji ekologicznej wiąże się z obniżeniem jakości życia?

Jeśli przyjrzymy się przyczynom, które sprawiają, że ludzie skłonni są np. oszczędzać prąd, gaz, czy wodę i w ten sposób dbać o środowisko, to okaże się, że oprócz takich jak: miłość do przyrody, nakazy moralne, poczucie obowiązku, czy edukacja na temat konsekwencji nieoszczędzania, najistotniejsze jest to, ile na tym mogą finansowo skorzystać. Duch ekologiczny pod postacią oszczędzania zasobów objawił się w społeczeństwie przede wszystkim wtedy, gdy ludzie zaczęli zakładać liczniki, wodomierze czy inne urządzenia dzięki którym mogli płacić mniejsze rachunki. Sytuacja ta pokazuje bardzo wyraźnie, co jest głównym regulatorem ludzkiego zachowania. Nie zasady moralne, nie piękne idee, nie rzetelna informacja, ale zysk (przede wszystkim materialny) i to bardziej doraźny niż odroczoney.

Może nam się to nie podobać, możemy na ten fakt narzekać, możemy się oszukiwać, ale w końcu trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Cóż, prawdopodobnie pogoń za doraźnym zyskiem jest wpisana w naszą ludzką kondycję i wydaje się w pewnym sensie mieć głębokie uzasadnienie. Prawdopodobnie nasi przodkowie,

*Mniej znaczy więcej!*

postępując w taki właśnie sposób zwiększali szanse swego przeżycia. Ci, którzy tak robili, byli silniejsi i lepiej przystosowani i ostatecznie mieli większe szanse zdobycia lepszego partnera i przekazania swoich genów dalej. Kiedyś, gdy ludzi było mało, a zasobów dużo, taka strategia nie stwarzała większych problemów, no może nie licząc tego, że już kilkadziesiąt tysięcy lat temu wyłukliśmy wielkie ssaki w obu Amerykach. Obecnie jednak widzimy wyraźnie, że to, co kiedyś pozwalało nam przeżyć, dziś staje się naszym (i nie tylko naszym) dramatem. Bo oprócz tego, że z powodów finansowych zaczynamy oszczędzać prąd czy wodę, to jednak pogoń za doraźnym zyskiem za wszelką cenę jest jedną z głównych przyczyn kryzysu ekologicznego w skali globalnej.

Zysk, przyjemność, komfort, luksus, to wszystko wygrywa z odroczonymi konsekwencjami pod postacią zatrutego powietrza, gleby, wody, efektu cieplarnianego, ginących gatunków i ostatnich dzikich miejsc. Dlatego też wydaje się, że jeżeli chcemy ograniczyć te niekorzystne zjawiska, to jednocześnie musimy skłonić ludzi do częściowej przynajmniej rezygnacji z zysku, przyjemności, komfortu i luksusu. Jak to zrobić? Czy to w ogóle jest możliwe? Póki co widzimy, że nie za bardzo się to udaje. Dlatego też ekolodzy i ruch ekologiczny ciągle są na marginesie życia społecznego, traktowani jak oszołomy lub niegroźni dziwacy.

Trzeba to sobie jasno powiedzieć: ludzie nie będą ekologami żyjącymi w sposób zrównoważony, nie będą mnichami, dla których cnotą jest umiar, samoograniczenie i koncentracja na sprawach zasadniczych, czyli duchowych. Ludzie w zdecydowanej większości będą używać, trwonić, gonić za przyjemnościami i przy tym będą robić wszystko, żeby nie przejmować się konsekwencjami. Dlatego też, jeżeli to wszystko doprowadzi do globalnej katastrofy, to będzie to najlepsze, co może się zdarzyć, bo spowoduje wypadnięcie gatunku, który przebrał miarę i w tym sensie nie był przystosowany do całości.

Ale zanim to nastąpi warto uświadamiać sobie i pokazywać innym odmienne zyski, które można czerpać z życia bardziej zrównoważonego. Gdy ja rezygnuję z dodatkowych prac, wprowadzicie uszczuplam swoje dochody, ale mam wtedy więcej czasu by pobyć z rodziną, spotkać się z przyjaciółmi, czy pójść do lasu. Spotkanie z drugim człowiekiem, rozmowa, poczucie wspólnoty, radość i zabawa nie wymagają zwykle żadnych pieniędzy. Wymagają za to zatrzymania się, rozluźnienia, oddechu. Patrząc w oczy mojego dziecka, czy idąc z nim na spacer, mam poczucie, że nic na świecie na ten moment nie jest ważniejsze od tej chwili. Podobnie jest z przyrodą: obserwowanie chmur, słuchanie ptaków, czy leżenie na łące nie wymaga specjalnych zabiegów i inwestycji. Wymaga za to zatrzymania się.

Nie śpieszę się. Nie czuję się napięty nawałem obowiązków. W ten sposób sprzyjam mojemu organizmowi, który źle znosi napięcie i ciągły stres. Już teraz, w tej chwili mogę odczuć większy spokój i harmonię.

Mając mniej pieniędzy (bo mniej pracuję) mniej też wydaję, co oznacza, że prawdopodobnie mniej kupuję rzeczy, które nie są mi tak naprawdę potrzebne. W ten sposób przyczyniam się do mniejszej eksploatacji naszej planety. Gdy mam mniej, mniej się też boje o to, że to stracę. Ci bowiem, którzy mają bardzo dużo i są do tego, co posiadają przywiązani, ciągle obawiają się, że mogą to utracić.

Gdy śpię w lesie pod płachtą lub gołym niebem, nie potrzebuję hotelu, łóżka oraz innych tego typu wygód. Ale dzięki temu doświadczam bliskości lasu, oswajam się z ciemnością, podziwiam gwiazdy i korony drzew nade mną. Zaręczam wam, że są to jedne z najcudowniejszych chwil w moim życiu.

Gdy wybieram rower zamiast samochodu, wprowadzicie odczuwam zmęczenie i jestem spocony, ale dzięki temu moje ciało jest w dobrej kondycji, a ja jestem zdrowszy. A zmęczenie, cóż – fizyczne zmęczenie jest bardzo przyjemnym stanem...

Mógłbym pewnie jeszcze długo wymieniać bezpośrednie i odroczone zyski, jakie mam, gdy rezygnuję z różnych udogodnień. Tak czy owak wymaga to pewnej uważności i świadomości w odkrywaniu tego, co proste, zwyczajne, skromne i przyziemne. To właśnie nazywamy JAKOŚCIĄ życia, w odróżnieniu od standardu, który ma wymiar materialny i na którym większość się skupia.

Zatem, trzeba powiedzieć tak: poprawa sytuacji ekologicznej wymaga obniżenia standardu życia i jednocześnie wiąże się ze zwiększeniem, polepszeniem jakości życia.

Mniej znaczy więcej!





## Na czym polega konflikt między potrzebami człowieka a potrzebami przyrody?

Ciągle nam ta przyroda jakoś przeszkadza. A to szkodniki w leśnictwie czy rolnictwie, a to jakieś wirusy czy bakterie, a to wilki, które zagryzają zwierzęta gospodarskie, a to wreszcie ekolodzy, którzy w imieniu przyrody przeciwstawiają się jakimś naszym zamierzeniom. Drogowcy, specjaliści od infrastruktury hydrotechnicznej czy ludzie związani z lobby narciarskim pewnie marzą o takim świecie, w którym nie byłoby tych okropnych ekologów, w którym mogliby ulepszyć, wybetonować, zmodernizować to, co dzikie i stworzyć w końcu świat wygodny, bezpieczny, przyjemny i ładny. I stałoby się tak niechybnie, gdyby nie wielu „szaleńców”, „pięknoduchów”, „oszołomów” i „zapaleńców”, którzy na to nie pozwalają.

*Tak naprawdę potrzeby przyrody są naszymi potrzebami. A nasze głębokie potrzeby są potrzebami przyrody*

Tak czy owak, sytuacja ta pokazuje nam ile i jak głębokich jest konfliktów na styku interesów człowieka i przyrody. I trzeba tutaj od razu dodać, że jakkolwiek przyroda jest wszędzie w jakimś stopniu chroniona,

to proces cywilizacyjnej presji na nią jest nieustanny, a zmiany, jakie tutaj następują, prowadzą do jej degradacji. I nic nie wskazuje, aby miało się to zatrzymać.

Czy ten konflikt jest jednak czymś rzeczywistym? Na czym on polega? Rozważmy dla przykładu drogi. Wydaje się, że potrzebujemy autostrad, ale budując je czynimy nieodwracalne, negatywne skutki środowiskowe. Mamy więc klasyczny konflikt interesów, a właściwie nie interesów tylko stanowiska człowieka i potrzeb przyrody. Stanowiska są konkretnym pomysłem, w którym realizuje się jakieś zamierzenie. Interesy są czymś bardziej zasadniczym i głębokim, czymś, co dotyczy bardziej prawdziwych potrzeb niż zachcianek czy krótkoterminowych, nastawionych na doraźną korzyść zamierzeń. Po co są więc nam autostrady? Po to, by szybko przewozić towary czy przemieszczać się. A po co szybko mamy przewozić towary czy przemieszczać się? Bo musimy zaspokajać potrzeby konsumpcyjne innych ludzi, bo musimy załatwiać interesy gdzieś daleko. Ale po co mamy zaspokajać jakieś dziwne nasze potrzeby: jeść egzotyczne owoce, ubierać się w coś, co wyprodukowano na drugim końcu świata, czy jechać gdzieś daleko na weekend czy wakacje? Czy tego wszystkiego naprawdę potrzebujemy? Czy bez tego moglibyśmy się obyć? Bo jeżeli mamy zdrowo się odżywiać, czy być w coś ubranym albo poznawać jakieś okolice, to chyba najlepiej korzystać tutaj ze skali lokalnej. Oczywiście musielibyśmy wtedy żyć znacznie skromniej niż obecnie, ale czy wtedy brakowałoby nam czegoś, co jest niezbędne dla naszego życia? Prawdopodobnie nie. Potrzebując tych wszystkich niepotrzebnych rzeczy, czy sprawiamy, że jesteśmy szczęśliwsi? Czy nasze szczęście zależy od tego, że możemy jeść banany zamiast jabłek albo, że oglądamy telewizję, zamiast spotykać się w grupie i snuć opowieści? Czy naprawdę jesteśmy szczęśliwsi mając te wszystkie rzeczy? Czy to jest zdrowe, to całe posiadanie i nastawienie na więcej i więcej?

Mam nadzieję, że widzicie, że nie są to nasze naturalne potrzeby. Zatem, jeśli zauważamy, że przy takich inwestycjach jak autostrady cierpi przyroda, to jest to wyraźny sygnał, że działamy tutaj też na naszą szkodę, że zdrowiej byłoby nie jeździć, tylko żyć lokalnie i czerpać z tego, co daje najbliższa okolica. Gdy tak głęboko spojrzysz się w ten problem, to nagle okazuje się, że nie ma konfliktu między naszymi potrzebami a potrzebami przyrody.

Nasze zachcianki obracają się w końcu przeciwko nam.

Profesor Zbigniew Mirek mówi przy tej okazji, że Tatrzański Park Narodowy chroni nie tylko przyrodę, ale też i człowieka. Oznacza to m.in., że najlepszy dla nas wariant przyrody jest pozbawiony wyciągów, dróg dojazdowych, parkingów i hoteli. Dostosowując się do wymagań przyrody pozwalamy sobie na uruchomienie tego, co w nas najlepsze, najbardziej naturalne i zdrowe.

Ale to stwierdzenie wskazuje jednocześnie, że póki co tworzymy taki świat, w którym szanse realizowania siebie w swym podstawowym i najbardziej pełnym wymiarze są znikome. Raczej tworzymy taki świat, który nam szkodzi, choć my święcie wierzymy, że właśnie robimy to dla siebie, żeby było nam dobrze. To „dobrze” jest bardzo powierzchowne, doraźne, nastawione na szybką przyjemność, czy unikanie za wszelką cenę nieprzyjemności. Działając w ten sposób szkodzimy sobie bezpośrednio i pośrednio, choć wydaje się nam, że dajemy sobie przyjemność. Bardzo przypominamy tutaj alkoholika, który też daje sobie krótkotrwałą przyjemność, choć w dłuższej perspektywie oczywiście sobie szkodzi.

Oddzielając się od przyrody, zaczynamy kurczowo trzymać się naszych zachcianek, które kompensują poczucie pustki po utracie pierwotnych związków. W stanie takiego oddzielnego umysłu ciągle wydaje się nam, że przyroda jest naszym przeciwnikiem i ciągle przeszkadza nam w realizowaniu naszych zamierzeń. Przywiązując się do naszych zachcianek niszczyliśmy nie tylko przyrodę, ale i siebie. I tak oto toczyliśmy permanentną wojnę sami ze sobą.

Całe to nasze oddzielenie, cały ten konflikt i sprzeczności są jednak iluzją, są czymś pozornym. Bo tak naprawdę potrzeby przyrody są naszymi potrzebami. A nasze głębokie potrzeby są potrzebami przyrody.

Dlatego w tym całym zamieszaniu, w tych wszystkich pozornych konfliktach bardzo uważnie musimy słuchać, co mówi do nas przyroda, co my mówimy sobie poprzez nią. Jeśli jest jakiś konflikt, to jest to dla nas sygnał, że robimy coś niezgodnego z naszą pierwotną naturą, że występujemy przeciwko sobie.

Marzę o takim kraju, w którym 99% powierzchni będą stanowiły Parki Narodowe, w których będzie się chroniło człowieka i przyrodę, a 1% będą zajmowały rezerwy cywilizacji, gdzie będzie można używać sobie do woli. Póki co jest odwrotnie, a i tak jest nieustanna presja by również ten 1% Parków Narodowych zawłaszczyć, na nasze zachcianki.





## Czym jest postęp?

Tak, postęp jest naszym świętym obowiązkiem. Trzeba doskonalić, wymyślać, poprawiać, zyskiwać, pomnażać i rozwijać. Ci, którzy mają mało muszą mieć więcej. Ci, którzy mają bardzo dużo muszą mieć jeszcze więcej. Musimy doganiać Europę. Ale przecież Europa nie stoi w miejscu, Europa też goni. Kogo? Wszyscy, i biedni i bogaci gonimy za iluzorycznym fetyszem, jakim jest dodatni wzrost gospodarczy. Tabele, wyniki, wskaźniki. Skoro robi tak cały świat, to chyba tak należy.

*Wystarcza to, co wystarcza*

Co się jednak kryje pod tym przymusem postępu za wszelką cenę? Jaką psychologiczną prawdę o nas wyraża ten nieokiełznany pęd przed siebie?

Postęp ma nas zbliżyć do tego, co jest dobre. A co jest dobre? Brak chorób, długie życie, ładny wygląd, wygoda, komfort, pełny brzuch, rozkoszowanie się różnymi przyjemnościami, bezwysiłkowe osiągnięcie różnych celów. Jednocześnie droga postępu ma nas oddalać od tego, co złe, czy negatywne. Czyli od chorób, krótkiego życia, brzydoty, wysiłku, głodu, przykrości, cierpienia, bólu i niewygody. Postęp jest więc drogą do świata idealnego lub bardziej idealnego, niż ten zastany. Będąc na tej drodze wierzymy, że uda się nam wyeliminować zło i maksymalizować dobro. W idealnej wersji wierzymy, że zło kiedyś zostanie pokonane ostatecznie: nie będzie chorób, terrorystów, gwałcicieli, morderców, złodziei, biedy, cierpienia i śmierci. Nie będzie Szatana. Zło przegra.

Mamy głębokie przekonanie, że dobro i zło są oddzielnymi kategoriami i w związku z tym da się jedno z nich wyeliminować. Wtedy, gdy zła już nie będzie, zapanuje raj. Niemal w każdej bajce dla dzieci ta polaryzacja jest zaznaczona. Niemal też w każdej dobro w końcu zwycięża. Przykład ten pokazuje naszą najgłębszą bodaj tęsknotę za rzeczywistością pozbawioną zła. Postęp cywilizacyjny jest jednym z najdobitniejszych przejawów tej tęsknoty.

Niestety nie mam jednak najlepszych dla was wieści. Tęsknota ta jest absolutnie wręcz naiwna, a postęp jest beznadziejną grą o lepsze czasy, w której to grze, z założenia skazujemy się na porażkę.



Bo zła od dobra oddzielić się nie da. Ta para przeciwieństw, jak zresztą każda inna para przeciwieństw wzajemnie się definiuje i określa. W tym sensie przeciwieństwa nie są dwoma niezależnymi zjawiskami. Są jednym. Doświadczamy dobra jedynie wtedy, gdy potrafimy je odnieść do zła. Góra nie istnieje bez doliny, wdech bez wydechu, a skurcz serca bez rozkurczu. Nie byłoby światła bez ciemności, a życia bez śmierci. Jeżeli zatem chcemy odrzucić lub wyeliminować jedno, to skazujemy się na porażkę. Dążąc bowiem do jednego, jednocześnie wzmacniamy drugie. Paradoks, jaki się tu pojawia wskazuje, że współczesna cywilizacja, im bardziej dąży do postępu, tym bardziej instytucjonalizuje niespełnienie i wzmacnia je. Tak oto mamy nudę pośród dostatku, brak sensu pośród obfitości i depresję pośród wygody. Coraz lepsze jedzenie (wysokoenergetyczne i przetworzone) i brak wysiłku fizycznego na co dzień skutkują otyłością i innymi chorobami. Żyjąc w coraz bardziej wypieszczonych (sztucznych) warunkach degenerujemy się jako istoty fizyczne, a nasze człowieczeństwo staje się coraz bardziej karłowate i wypaczone. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że im nasz świat staje się lepszy, tym z nami jest coraz gorzej. I z dojmującym poczuciem przegranej, tym bardziej musimy walczyć o jeszcze lepszy wskaźnik postępu. Zaiste piekielna to pułapka utkana z wizji idealnej rzeczywistości.

Wiemy też, że postęp i rozwój za wszelką cenę są zabójcze dla ekosystemu, ostatecznie bowiem natura jest właśnie tym czynnikiem, który przyprawia nas o największe lęki. Naturalny proces przypomina nam o śmierci, przemijaniu, o zmianie, o czymś nieprzewidywalnym. Dlatego postęp od zawsze wymierzony był przeciwko naturze. Miał ją ujarzmić, okiełznać i zniewolić. No i udało się nam. Codziennie się nam udaje. Zabijać samych siebie.

Co ciekawe, życie od samego początku też się doskonali: coraz większa złożoność organizmów i całej biosfery. Ale tutaj postęp jest procesem coraz doskonalszego dostosowywania się życia do istniejących warunków. Życie i jego warunki są jednością. My jesteśmy chyba jedynymi istotami, które robią inaczej: dla nas postęp jest dostosowywaniem warunków do naszych oczekiwań. Spostrzegamy warunki, jako przeciwstawne życiu. Oddzielamy warunki od życia. Tak oto na naszych oczach rozgrywa się prawdopodobnie jeden z ostatnich epizodów tej walki.

Co nam pozostaje? Może uda Ci się nie dać złapać się w tę pułapkę postępu za wszelką cenę. Nawet jeżeli nie zmieni to nic w skali globalnej, warto swoje życie przeżywać mając spokojny umysł i głęboką świadomość, że mam już wszystko, co niezbędne. Powiedz sobie: WYSTARCZA TO, CO WYSTARCZA. Jak czujesz się z tą myślą?



## Czy technika uratuje świat?

Wyobraźcie sobie: samochody na wodór, którego produktem spalania jest czysta woda, szczepy bakterii, które ze smakiem zjadają plastikowe opakowania, rośliny odporne na szkodniki, dzięki czemu nie trzeba stosować trujących pestycydów, nowe, czyste technologie produkcji różnych artykułów. Bądźmy cierpliwi, już za niedługo będziemy żyć w innym świecie: czystszy, zdrowszy i ładniejszy. Bądźmy tylko cierpliwi... Naukowcy, technika zawsze znajdą jakieś rozwiązanie.

W XIX w. władze Paryża były głęboko zaniepokojone wzrostem ilości koni wykorzystywanych w transporcie miejskim. Wieszczono, że jeżeli koni będzie przybywać, to rozrastające się miasto nie poradzi sobie z ogromną ilością końskich odchodów. I co? Jak wiemy dzisiaj obawy okazały się nieuzasadnione. Wymyślono przecież samochód i problem się rozwiązał. Przykład ten podają często zwolennicy rozwoju technologicznego, argumentując, że nasze obecne obawy związane z kryzysem

ekologicznym są równie nieuzasadnione, jak te dotyczące koni w Paryżu. Zobaczmy jednak, że przykład ten ma bardzo wątpliwą argumentację. Zakłada się tutaj bowiem, że samochody rozwiązały problem koni. Czy jednak samochody same nie stanowią problemu? Dosadnie można by zapytać, czy lepiej tonąć w końskim gównie, czy w samochodowych spalinach i korkach? Tutaj odpowiedź nie jest już taka jednoznaczna.

Zatem, jeżeli mówimy, że czeka nas świetlana przyszłość, bo technika coś wymyśli, to już się boją. Co też to znowu będzie?

W myśleniu wyrażającym się w haśle co technika zepsuła, technika naprawi, kryje się niebezpieczne założenie. To założenie dotyczy naszego nadmiernego przywiązania do wytworów naszego umysłu. Wydaje się nam, że rozumowo jesteśmy w stanie poznać prawdę, że nauka odkrywa przed nami prawdziwy, niezmienny obraz rzeczywistości. Opisuując naukowo świat zyskujemy jednocześnie wiedzę, jako narzędzie ingerowania w procesy przyrodnicze. Technologia jest produktem owej wiedzy. Na samym jednak początku jest

*Świadomość tego, jak niewiele wiemy o cudzie życia na naszej planecie chroni nas przed arogancją i jednocześnie przed nieuzasadnionym przekonaniem, że technika uratuje świat*

założenie, że „wiemy lepiej i na pewno”. Przekonanie to daje nam poczucie siły i skuteczności, przez co rośnie nasza arogancja. Używam określenia „arogancja” nieprzypadkowo. Bowiem bezgraniczne zaufanie do wiedzy, jaką posiadamy jest w dużym stopniu nieuzasadnione i niebezpieczne. Obraz świata, który kreśli nauka nie jest prawdą absolutną, a jedynie konstrukcją człowieka, jego umysłu. Jest cała masa dowodów na to, że powinniśmy z większym dystansem podchodzić do tej wiedzy; powinniśmy na każdym kroku uświadamiać sobie, jak mało wiemy. Podobno Izaak Newton, gdy wyrażano zachwyt nad jego odkryciami, zwykł mawiać, że to, czego dokonał, jest jak opisywanie bogactwa życia w oceanie na podstawie muszelek, które znalazł na jego brzegu. Jest wiele wybitnych umysłów w historii nauki, które wyrażały podobny dystans wobec wiedzy, jaką zgromadził człowiek. Do tej grupy należeli np. Sokrates, Lao Tsy czy Albert Einstein. Wydaje się, że tego rodzaju rezerwa wobec własnych dokonań jest jakimś głosem rozsądku w tym szaleńczym pędzie przed siebie, który prowokuje rozwój technologiczny.

Zatem świadomość tego, jak niewiele wiemy o cudzie życia na naszej planecie chroni nas przed arogancją i jednocześnie przed nieuzasadnionym przekonaniem, że technika uratuje świat.

Możemy się też zapytać, dlaczego człowiek tak bardzo chce ufać swojej wiedzy i technice? Psycholog odpowie tutaj, że to zaufanie jest wprost proporcjonalne do naszej niepewności, samotności i wyobcowania w świecie. Im bardziej czujemy się obco na tej planecie, tym bardziej kurczowo trzymamy się wytworów naszego umysłu. Oddzielony umysł może polegać tylko na sobie. Wiemy już jednak, że poczucie oddzielenia jest podstawową iluzją, której ulegamy. Nie jesteśmy oddzieleni. W związku z tym niczego nam nie brak. Już mamy całą mądrość ewolucji. Jesteśmy mądrzy naszym ciałem, wszystkimi procesami, które wiążą nas z całą naturą. Nie potrzebujemy żadnych podpórek, protez i ułatwaczy.

Czy rozwój technologiczny zostanie zatrzymany i czy mamy w związku z tym wrócić do jaskiń? Nie, nie jest to prawdopodobne i nie jest to też konieczne. Nie chodzi też o to, żeby zupełnie odrzucić umysł i jego produkty. Wszak on też jest częścią procesu ewolucji. Chodzi jednak o równowagę. O to, aby nie zapominać, że ważną rzeczą jest zapytywanie „kim jestem?” i odkrywanie jedności z całym żywym światem. Wtedy rozstajemy się z ludzką arogancją, nie pędzimy tak do przodu na oślep, nie ingerujemy i nie manipulujemy tak zawzięcie przyrodą i mamy większe zaufanie do naturalnych procesów.

Niech rozwój duchowy idzie w parze z rozwojem technologicznym, a z czasem okaże się, że nie ma dwóch rodzajów rozwoju. I że wszystko już mamy. Że mieliśmy od samego początku.





## Czym są śmieci?

Jest w każdym domu. Kubeł na śmieci. Stopniowo wypełnia się odpadkami, aż w końcu zabieramy go i wyrzucamy zawartość do zsypu lub kontenera. Czy jest jakieś uczucie, które Ci towarzyszy podczas wykonywania tej czynności? Jak to jest – wyrzucać śmieci?

Pewnie większość robi to zupełnie beznamyślnie i bezrefleksyjnie, w końcu wydaje się nam, że w ten sposób pozbywamy się śmieci na zawsze. Były – nie ma. Tego typu logika związana jest również z akcją „Sprzątanie Świata”. Posprzątanym świat jest czysty, a śmieci znikają. Ale gdzie znikają? Tak naprawdę przenosimy je tylko w inne miejsce. Śmieci są jak meble w pokoju, które przestawiamy z kąta w kąt, jednak one nigdy z tego pokoju nie znikają. Możemy ich nie widzieć, mogą być daleko, ale nieprawdą jest, że się ich pozbywamy.

Zwykle też łudzimy się, że jeżeli segregujemy śmieci, to rozwiązuje to radykalnie problem odpadów. Jakkolwiek oczywistym jest, że lepiej segregować niż tego nie robić, to jednak nie jest to najlepszy sposób nieśmiecenia. Jeżeli rzeczywiście zależy nam na tym, by śmieci było mniej musielibyśmy głęboko zapytać, skąd one się biorą. A to pytanie wprost prowadzi nas do naszego stylu życia, w którym konsumpcja jest jednym z podstawowych i najbardziej groźnych uzależnień. Każda wizyta w sklepie, każdy zakupiony produkt jest dołożeniem swojej cegiełki do góry śmieci. A do tego ciągle jeszcze słyszymy, że gdy się coś psuje, to zamiast to naprawić, lepiej kupić nowe. Ciągle więc kupujemy nowe, a stare oczywiście ląduje na śmietniku. Zatem najwyższym poziomem wtajemniczenia w trudnej sztuce nieśmiecenia byłoby ograniczenie naszego konsumpcyjnego rozpasania. Ten, kto mniej kupuje, żyje skromniej, ten też wytwarza znacznie mniej śmieci.

W sprawie śmieci istnieje też pewien niezwykły paradoks. Otóż im bardziej czyste i pachnące mamy mieszkania, łazienki, kuchnie, ubrania czy ciała, tym bardziej zanieczyszczone stają się rzeki, gleba i powietrze. Oczywiście nie dostrzegamy tego tak bardzo, a nawet jeżeli już, to niewiele nas to obchodzi, bo przecież żyjemy w tych własnych, wypieszczonych klatkach.

*Tak naprawdę śmieci są częścią nas. Spoglądając w nie głęboko, można dostrzec samego siebie*

Czym są zatem śmieci? Są naszym cieniem. Są tym, co znajduje się po drugiej stronie postępu, dobrobytu, cywilizacyjnego dostatku i popularnych wzorców piękna. Śmieci są ceną, jaką płacimy za luksus życia w sztucznym środowisku. Tworząc taki świat, jednocześnie negujemy to, co naturalnie piękne i proste. Ta negacja i odcięcie się od tego, co pierwotne skutkuje wytwarzaniem coraz większej ilości odpadów. Ilość śmieci jest miarą sztuczności życia, jakie prowadzimy. To tak, jakby śmieci mówiły nam „odcinając się od natury, zatruwacie ją i jednocześnie zatruwacie siebie”, „odcinając się od natury, popełniacie samobójstwo”. Nie można bowiem bezkarnie negować życia. Może właśnie śmieci i to, co się z nimi dzieje oraz to, jak ostatecznie do nas wracają jest zdrową reakcją Ziemi na istotę, która nie respektuje jej praw. Ta istota w końcu zatruje się sama i w ten sposób prawdopodobnie zniknie źródło zagrożenia.

Bo tak naprawdę śmieci są częścią nas. Spoglądając w nie głęboko, można dostrzec samego siebie. Wprawdzie nie chcemy się utożsamiać ze śmierdzącą i nieprzyjemnie wyglądającą zawartością kosza na śmieci, niemniej jednak to właśnie jesteśmy my. Za jakiś czas bowiem zawartość tego kosza wróci do nas w postaci jedzenia, wody lub powietrza, którym oddychamy, a więc stanie się naszym ciałem, krwią czy oddechem – stanie się nami samymi. Nie ma przed tym ucieczki.

Ale kto w to uwierzy? Kto się tym przejmuje? Zachowujemy się tutaj podobnie jak neurotyk. Taka osoba też „wyrzuca” część siebie na zewnątrz. To, czego w sobie nie akceptuje (swoje „śmieci”) widzi jako coś nieswojego. Widzi to w innych ludziach albo w świecie, który wydaje się okrutny, zły czy bezwzględny. Brud jest na zewnątrz, w środku jest czysto. Z tego podziału wyrasta jednak ogromne cierpienie i walka (wewnętrzna lub zewnętrzna). Cierpienie będące wynikiem odrzucenia części samego siebie.

Właśnie w taki sposób możemy spojrzeć na obecny kryzys ekologiczny. Jest on czymś w rodzaju globalnej nerwicy, jest daremną próbą odrzucenia ważnej części siebie.

Ratunkiem dla neurotyka jest ponowna integracja, jest praca nad zaakceptowaniem siebie samego w pełni, razem z tą częścią, z którą człowiek do tej pory się nie identyfikował. Również przed nami jako ludzkością stoi podobne zadanie. Musimy przyjąć to, co odrzucaliśmy jako zewnętrzne czy obce. Śmieci mogą okazać się tutaj zbawienne. Zobaczenie siebie w nich może być zaczynem głębokiej przemiany, której skutkiem będzie bardziej świadome, uważne i skromne życie.

Zachęcam Cię do tego, żeby w pełni spotkać się ze swoimi śmieciami. Zarówno tymi w kubie, jak i tymi, które znajdują się w Twoim umyśle. W końcu to jesteś Ty.



## Czym jest praca?

Praca jest marzeniem dla tych, którzy jej nie mają i często przekleństwem dla tych, którzy ją mają. Wystarczy zwrócić uwagę na to, jak ludzie traktują weekendy. Gdy zbliża się piątek po południu, następuje ożywienie i wstępuje jakiś nowy duch w człowieka. Podobnie jest ze świętami, urlopami czy tzw. długimi weekendami. Niektórzy uważają jednak, że wolne powinno trwać najmniej tydzień, bo właśnie ten pierwszy tydzień przeznaczony jest na detoksykację od pracy. Odwrotną sytuację mamy w poniedziałki, kiedy znowu trzeba wpaść w ten kierat. Poniedziałki z tego względu mają opinię najgorszego dnia w tygodniu.

*Pracując dla pieniędzy, pracujemy dla dziurawego worka*

Czym jest zatem praca? Jest jakąś niewdzięczną koniecznością. Zresztą, tak też jest określana w Biblii: po wygnaniu człowieka z raju, Bóg zapowiada mu, że odtąd będzie pracował w pocie czoła, co w istocie brzmi jak przekleństwo.

Nasze podejście do pracy zasada się na założeniu, że praca jest swoistym przymusem, dzięki któremu uzyskujemy pieniądze, następnie przeznaczone na konsumpcję. W tym założeniu występuje wyraźny podział na to, co nieprzyjemne (praca) i na to, co przyjemne (konsumpcja). Tylko w czasie wolnym możemy doświadczyć szczęścia i satysfakcji i w tym sensie praca jest traktowana jako przeszkoda w osiągnięciu tego stanu. Pracując bowiem nie konsumujemy, więc na pewien czas musimy odroczyć zaspokojenie własnych pragnień, zacisnąć zęby i jakoś przeżyć do najbliższego piątku.

W ten oto sposób przez większą część naszego życia czujemy się jak w kieracie. Okresy te przeplatane są nielicznymi momentami, kiedy odżywamy i dajemy upust nieokiełznanej konsumpcji. To rozpasanie wydaje się być rozpaczliwą próbą wyrównania rachunków i nadrobienia tego poczucia niespełnienia, które trwa przez większą część czasu.

Do tego dochodzi jeszcze fakt, że zdecydowana większość z nas wykonuje pracę, która degraduje nasze człowieczeństwo. Często jesteśmy w pracy dodatkiem do jakiejś maszyny, wykonujemy automatyczne



czynności, w których trudno manifestować swój twórczy charakter. Najczęściej też nie jesteśmy autorami dobra, które produkujemy, bowiem tysiące innych (obcych) ludzi dokłada do tego swoją niewielką część i w całości nasz (oraz ich) udział zupełnie się gubi. Pracujemy w ten sposób często po to, by kupić tanie produkty, wyprodukowane przez innych bezimiennych i zdehumanizowanych wytwórców, którzy za chwilę będą konsumować to, co myśmy wyprodukowali. I tak się to kręci.

Poza tym ludzie są niecierpliwi i już chcą mieć to, na co na razie ich nie stać. Zaciągają więc kredyty i następnie z dojmującym poczuciem ubóstwa i zadłużenia rzucają się w wir niechcianej pracy, by tylko sprostać zobowiązaniom. Trudno się więc dziwić, że konsumpcja w takim świecie wydaje się jedynym jasnym punktem, który nadaje sens temu żalosnemu spektaklowi.

Biorąc to wszystko pod uwagę trzeba wyraźnie stwierdzić, że współczesny świat z jego dominującym modelem ekonomicznym nie sprzyja ani dobrej pracy, ani człowiekowi ani środowisku, które jest bez umiaru wykorzystywane w tej grze między przymusem pracy i przymusem konsumpcji.

Gdzie więc popełniliśmy błąd? Co możemy z tym zrobić? Zaczniemy zatem od początku: praca nie służy zarabianiu pieniędzy! Pracując dla pieniędzy, pracujemy dla dziurawego worka. Skutkiem pracy nie jest wynagrodzenie, skutkiem pracy jest wyłącznie wykonana praca, czyli jakaś zmiana, która dokonała się w rzeczywistości. Dodajemy tutaj oczywiście wynagrodzenie, ale ono nie jest zasadniczym motywem działania. Tym motywem jest po prostu sama praca i jej efekt. Pracując w ten sposób nie oddzielamy się od tego, co wykonujemy; jesteśmy w pełni obecni w tym, co robimy, a nie tylko czekamy aż się to zakończy. Oczywiście trudno to robić, gdy nasza praca jest monotonna i mało twórcza, ale nawet tam sumienność i poczucie dumy z własnych starań mogą złagodzić udrękę monotonii.

Inaczej mówiąc prawdziwa praca wykonywania jest dla niej samej. Nie jest to jakaś oddzielna część życia, którą przyjmuje się z niechęcią i przymusem. Praca jest samym życiem, jest jego naturalnym i niewymuszonym wyrazem. Po tak wykonanej pracy pojawia się potrzeba odpoczynku, która równoważy wydatkowany wysiłek. Między zdrową pracą, a odpoczynkiem powinna zachodzić taka zależność, jak między wdechem i wydechem, które wzajemnie się dopełniają i dopiero razem pozwalają oddychać i żyć. Nie chodzi więc ani o to, by uciekać w pracę i zapracowywać się ani uciekać od pracy i wyłącznie poza nią poszukiwać satysfakcji i spełnienia w życiu.

Potrzebujemy zmiany świadomości, by pracować w sposób zdrowy, ale też potrzebujemy rzeczywistych zmian w systemie ekonomicznym, a nawet szerzej w całej kulturze, by praca była tym, co daje satysfakcję, poczucie spełnienia i pozwala na realizowanie własnego twórczego potencjału.

Dużo musi się zmienić w nas i wokół nas, abyśmy zdołali przetrwać razem z całym ogromnym systemem życia, który pracuje, nie pracując...



## Czym są podróże i dlaczego ludzie podróżują?

Mój znajomy, który prowadzi biuro podróży mawia, że ludzie podróżują, by zrobić sobie zdjęcie na tle..., a następnie pochwalić się nim znajomym, że TAM byli. No tak, rzeczywiście coś w tym chyba jest. Długie weekendy, wakacje, urlopy, to wszystko zmusza ludzi do opuszczenia swojego domu, mieszkania. Ten, kto zostaje na miejscu powinien się wstydzić. Ten, kto wyjeżdża, może czuć się dumny, może mieć to szczególne poczucie wyższości, gdy chwali się znajomym, że był poza domem. Najlepiej gdzieś bardzo daleko. Im dalej tym lepiej.

Ten przymus podróżowania jest znakiem naszych czasów, ale też i charakterystycznym rysem konsumpcyjnej kultury świata zachodniego. Bo przecież podróżują wyłącznie bogaci, ci, którzy nie muszą martwić się, jak przeżyć kolejny dzień.

Ale pęd do podróżowania odkrywa również zakamarki naszej prawdziwej natury. Przez większość czasu naszej ludzkiej historii przemieszczaliśmy się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu schronienia i pokarmu. Byliśmy zbieraczami i łowcami. Dzisiaj też zbieramy i łowimy, choć nasza zdobycz jest zupełnie innego rodzaju. Nie służy tak jak kiedyś przeżyciu, choć w pewnym sensie też o przeżycie tutaj chodzi. W dobie wszechogarniającej nudy (bo mamy już wszystko) oraz ucieczki przed pracą (której przecież szczerze nie lubimy) spełniamy się w poszukiwaniu nowych wrażeń i doznań. Właśnie podróżowanie jest jednym z najlepszych sposobów uzyskania tych szczególnych przeżyć. Tak czy owak większość z nas idzie tutaj

na daleko idący kompromis, bo wprawdzie np. wypuszczamy się do Afryki, ale spędzamy tam czas w turystycznych gettach nazywanych enigmatycznie kurortami by ostatecznie poczuć się jak u siebie w domu (choć gdzie indziej): śpimy w wygodnym łóżku, jemy głównie to, co we własnym kraju oraz wylegujemy się

*Może watro, jakkolwiek wydaje się to być szalone i niemożliwe zacząć dostrzegać coś, co trzeba chronić i pielęgnować w najbliższej okolicy. Powoli odkrywać i na nowo uczyć się własnego miejsca: starych drzew, zdziczałych parków, zapomnianych stawów, czy rowów przy drogach. Odkryć własnych sąsiadów, a w końcu także przyjrzeć się na spokojnie sobie samemu*

na plaży, która jest niemal taka sama jak nad naszym morzem. Tak oto możemy pochwalić się, że odbyliśmy egzotyczną podróż, choć ta egzotyka oglądana była przez szybę autokaru z klimatyzacją.

Inni, ci mniej liczni zakładają plecaki i jak ognia unikają turystycznych centrów. Lubią za to się włóczyć i docierać do najdalszych zakamarków. Naprawdę jednak są dużo groźniejsi od tych pierwszych. O ile bowiem tamci rzadko wystawiają swój nos poza hotel i w ten sposób nie ingerują w to, co rzeczywiście egzotyczne, o tyle ci drudzy uwielbiają być odkrywcami tego co dziewicze. Wypuszczają się więc w miejsca cenne przyrodniczo lub odwiedzają siedziby tubylców, którzy nie zostali jeszcze zepsuci przez zachodnią kulturę. Zarówno pierwsze jak i drugie spotkania kończą się dla tego, co jeszcze niezmiennione zazwyczaj źle. Można by rzec, że dzika przyroda życzy sobie wszystkiego, co nieludzkie, zatem obecność w niej człowieka i to w dodatku cywilizowanego nie wychodzi jej na dobre. Podobnie jest z miejscowymi ludźmi. Obdarzani prezentami bądź pieniędzmi uczą się w końcu rezygnować z tradycyjnego stylu życia i stają się stopniowo atrakcją turystyczną, z czego czerpią zyski finansowe. Tak oto niszczone są społeczne więzi, ludzie przestają kultywować tradycyjne rzemiosła, odchodzą od starych zwyczajów i zamiast żyć, zaczynają odgrywać swoje życie na sprzedaż. Pamiętam, jaki byłem zniechęcony, gdy w Mongolii, wysoko w górach, po całodziennym konnej wyprawie (zupełnie niekomercyjnej) natknęliśmy się na siedzibę ludu Tsatan, hodującego renifery. Wydawało się, że jesteśmy na końcu świata, a nasi gospodarze pierwszy raz widzą blade twarze. Jednak wszystko rozwiało się, gdy gospodarz osiodłał renifera i chciał, żebyśmy się na nim przejechali za... jedyne 5 dolarów. Pamiętam, że wtedy pierwszy raz poczułem wstyd za siebie i innych, którzy podróżują.

Zwykle tam gdzie nas nie ma, wydaje się, że jest lepiej. Gdzieś dalej jest piękniejsza przyroda, bardziej zachwycające widoki, życzliwsi ludzie, pełniejsze życie. I ponieważ to nasze przekonanie ma uzasadnienie. Przecież miejscem gdzie żyjemy jest przede wszystkim miasto z jego brzydotą, obcością innych, doświadczanym kieratem w pracy czy w szkole. Wypuszczając się dalej uwalniamy się od tego wszystkiego, bo wybieramy zwykle piękne miejsca. Ale w tej logice leży tragiczna konstatacja: z miejsca, w którym żyjemy zrobiliśmy coś, co nie nadaje się do życia (głośne, smrodliwe i duszne, jakby powiedział pewien indiański wódz) i dlatego musimy szukać czegoś nowego, czegoś innego - niezepsutego. Paradoks jest taki, że to nowe miejsce z powodu naszej wygody zmieniamy ostatecznie tak, że z pierwotnego i naturalnego piękna niewiele pozostaje. Podróżowanie jest więc ucieczką ze świata, którego nie lubimy do świata, którego za chwilę lubić nie będziemy, bo stanie się komercyjnym lunaparkiem. Jak już wszystko zamienimy w turystyczne lunaparki, gdzie wtedy pojedziemy?

Ostatecznie więc ta przemożna chęć podróżowania obnaża nasz brak zakorzenienia, brak związków z miejscem, w którym żyjemy. Tak, podróżowanie jest jakąś żalosną namiastką prawdziwego bycia w MIEJSCU, własnym miejscu. Gdybyśmy tak naprawdę byli u siebie, w pełni doświadczali tego, co jest blisko, kochali to, co nas otacza, czuli się dobrze w swoim domu rozumianym jako najbliższa przestrzeń życiowa, szanowali to, co zostało nam powierzone pod opiekę, czy wtedy coś gnałoby nas do wyjazdu? Cóż, im bardziej niszczymy to TU, tym bardziej poszukujemy czegoś niezmiennego TAM, ale też tym bardziej narażamy to TAM na degradację.

Trzeba to wyraźnie powiedzieć: jesteśmy obcy i nigdzie nie jesteśmy tak naprawdę u siebie. Albo raczej wydaje się nam, że jesteśmy obcy. Dlatego skazani jesteśmy na kolekcjonowanie miejsc i chwalenie się tym przed innymi z nadzieją, że ktoś w końcu nas doceni, a my staniemy się pełniejsi, bo zaliczyliśmy więcej niż inni. Tak czy owak niczego to nie zmienia na dłuższą metę, no może zmienia tylko to, że świat, a szczególnie ostatecznie naprawdę dzikie miejsca stają się bardziej na sprzedaż.

Może więc czas zatrzymać się nad tym i spojrzeć uczciwie na ten kolejny przymus w naszym życiu. Może warto zrobić coś innego niż poddawać się tej masowej fali wyjazdów za wszelką cenę. Może wato, jakkolwiek wydaje się to być szalone i niemożliwe zacząć dostrzegać coś, co warto chronić i pielęgnować w najbliższej okolicy. Powoli odkrywać i na nowo uczyć się własnego miejsca: starych drzew, zdziczałych parków, zapomnianych stawów, czy rowów przy drogach. Odkryć własnych sąsiadów, a w końcu także przyjrzeć się na spokojnie sobie.

Jest takie taoistyczne powiedzenie: można poznać cały świat nie wychodząc ze swojego domu; ten, kto podróżuje, ten niewiele wie.

Czyż nie brzmi to jak herezja? Ale taka właśnie jest ta najważniejsza podróż, jakiej doświadczamy. Podróż, w której poznajemy samych siebie. Nie trzeba nigdzie jechać, żeby to zrobić. A nawet trzeba nie jechać, nie uciekać przed sobą, żeby w końcu siebie spotkać.





## Czy jesteśmy lepsi od innych, pozaludzkich form życia?

Biorąc pod uwagę sukces ewolucyjny naszego gatunku rzeczywiście możemy czuć się lepsi. Ostatecznie byliśmy w stanie opanować niemal wszystkie środowiska życia na Ziemi: od pustyń, aż do rejonów wysokogórskich czy subpolarnych. Potrafimy nurkować pod wodę na znaczne głębokości, latać w powietrzu, a nawet wypuszczać się w kosmos. Kontrolujemy wiele procesów naturalnych. Posługujemy się abstrakcyjnym myśleniem i wyrafinowanym językiem. Jesteśmy samoświadomi. To naprawdę imponująca lista. Z pewnością nikt poza nami nie może się pochwalić podobnymi osiągnięciami.

Ale jednak, czy możemy być rzeczywiście tak zadowoleni i dumni z siebie? Jeżeli chodzi o sukces ewolucyjny, to zwróćmy też uwagę, na jego szerokie konsekwencje. Przeludnienie, wymierające gatunki, zatrute środowisko, itd. Komórki rakowe, które atakują własny organizm też w pewnym sensie osiągają sukces ewolucyjny, bowiem udaje im się opanować niemal cały organizm. Czy jest to jednak sukces? Z pewnością nie, przecież jego konsekwencją jest śmierć organizmu. Kto wie, może to, co uznajemy za nasz sukces będzie gwoździem do naszej trumny? Może nie tylko do naszej - pociągamy przecież w tym procesie mnóstwo innych gatunków w niebyt. Doprawdy nie ma się zbytnio czym chwalić.

Kolejna rzecz, to nasze ludzkie atrybuty, dzięki którym możemy się czuć lepsi czy wyjątkowi. Abstrakcyjne myślenie i samoświadomość. No tak - nikt inny tak nie potrafi. Ale przyjrzyjmy się innym gatunkom. Nietoperze potrafią po mistrzowsku fruwać w ciemnościach i łowić owady posługując się dźwiękami. Psy mają kilkaset razy bardziej precyzyjny węch od naszego. Rośliny potrafią czerpać energię prosto ze słońca, niektóre bakterie doskonale obywają się bez tlenu, a pewne gatunki drzew mogą żyć nawet kilka tysięcy lat. My tego wszystkiego nie potrafimy. Pod tym względem jesteśmy bardzo ułomni, słabi i niepozorni. Musimy się podierać wytworami naszego umysłu.

*W rodzinie, w której każdy ma swoje miejsce nie trzeba udowadniać, że ktoś jest lepszy, a ktoś inny gorszy*

Innymi słowy każdy gatunek ma jakąś właściwą sobie umiejętność czy dar, który go uprzywilejowuje wobec innych. Nasze myślenie i świadomość też są takim darem – to jest prezent, który dostaliśmy od natury. Ale każdy coś dostał. Czy to, że my dostaliśmy to, a inni tamto, powinno decydować o tym, kto jest lepszy, a kto gorszy? Przyroda, to nie konkurs piękności albo stadion olimpijski, gdzie jedni są gorsi, a inni lepsi. Wprawdzie są koncepcje, które zakładają, że rywalizacja i walka stanowią podstawową zasadę świata naturalnego, to hipoteza ta może być bardziej projekcją naszego ludzkiego świata, niż tym, co jest. Inaczej mówiąc, ludzie ciągle muszą rywalizować i widzieć siebie lepszymi i ta optyka jest wykorzystywana również do rozumienia funkcjonowania innych gatunków. Alternatywna wizja jest taka, że w przyrodzie każdy ma swoje miejsce. Poszczególne organizmy i gatunki nie tyle rywalizują ze sobą, ile przenikają się wzajemnie, uzupełniają i współpracują. Z tej całościowej perspektywy nie ma gatunków ani lepszych ani gorszych.

Dlaczego zatem ciągle wydaje się nam, że jesteśmy lepsi i wpadamy w samouwielbienie? Otóż, im bardziej uzurpujemy sobie prawo do owej wyjątkowości i określonych przywilejów, tym wyraźniej odkrywamy za tą tendencją czający się lęk. Obawiamy się o własną pozycję w świecie. To, z czego jesteśmy tak dumni – nasza samoświadomość, sprawia, że czujemy się wrzuceni w świat, którego nie rozumiemy, który wydaje nam się obcy i zagrażający. Poczucie oddzielenia rodzi jednocześnie lęk przed śmiercią i dojmującą samotność. Zagubieni i niepewni w świecie musimy udowodnić sobie i innym, że coś znaczymy, że jesteśmy ważni i sobie poradzimy. W tym procesie zdani jesteśmy niemal wyłącznie na własne siły. Nasza pozycja nigdy nie jest pewna, bo mając poczucie oddzielenia zawsze będziemy obawiać się świata. Zawsze też będziemy musieli udowodniać, że jesteśmy lepsi. Dzięki temu, choć częściowo udaje się nam odsunąć od siebie lęk, poczucie nieadekwatności i obcości w świecie. Dzięki przekonaniu o własnej wyjątkowości potrafimy sobie lepiej radzić z własnym zagubieniem.

Podobne zjawisko obserwujemy na gruncie relacji międzyludzkich. Tam dość dobrze rozpoznajemy, że ten, kto się wywyższa nad innych ma też najwięcej kompleksów i tak naprawdę nie jest pewny swojej wartości. Narcystyczne samouwielbienie odkrywa poważne deficyty w stosunku do samego siebie. Takie właśnie są konsekwencje oddzielenia, które ostatecznie jest oddzieleniem przede wszystkim od samego siebie, oddzieleniem, które pcha nas do zawłaszczania sobie świata z przekonaniem, że tylko my tutaj jesteśmy ważni.

Przyglądając się tej psychopatologii moglibyśmy pomyśleć, że jedynym ratunkiem dla ludzkości jest udanie się na psychoterapię. Trzeba nam bardzo wnikliwie przyjrzeć się sobie i odpowiedzieć na pytanie: „kim jestem?”. Ale też przed nami stoi zadanie ponownego zaprzyjaźnienia się ze światem, poczucia się na tej planecie jak u siebie w domu, zobaczenia, że lęk jest iluzją, a nasze obawy są nieuzasadnione.

A może zamiast do psychoterapeuty, pójść do lasu i tam odkrywać pokrewieństwo, współzależność i bliskość z innymi formami życia. Bo w rodzinie, w której każdy ma swoje miejsce nie trzeba udowodniać, że ktoś jest lepszy, a ktoś inny gorszy.



## Czy życie człowieka jest tak samo wartościowe jak życie żaby?

Cóż to za pytanie?! Oczywiście, że życie człowieka jest bardziej wartościowe, niż życie żaby. Chyba tylko szaleniiec mógłby stwierdzić, że jest inaczej. Żaba – przecież to prawie nic nie znaczy.

Ale pomyślmy, gdyby to była ostatnia żaba na ziemi, czy tak samo beznamiętnie byśmy ją zabili? Albo gdyby to nie była żaba, tylko niedźwiadek panda; albo twój ukochany pies czy kot.

Te dylematy pokazują, że jesteśmy istotami, które przypisują wartość innym istotom. Te, które lubimy, te, które są szczególnie piękne albo pożyteczne albo rzadkie wydają się nam bardziej wartościowe niż inne. Podobnie zresztą robimy wobec ludzi. Dalajlama wydaje się nam być bardziej wartościowy niż pijak; noblista bardziej wartościowy niż osoba upośledzona. Ale w tym przypisywaniu znaczenia i wartości czai się pułapka. Wpadli w nią np. naziści, którzy przypisując wartość tylko pewnym ludziom, jednocześnie innym jej odmawiali i posyłali ich do komór gazowych. Dzisiaj, pomni doświadczeń historycznych wystrzegamy się takiej stronniczości (przynajmniej w deklaracjach). Skłonni jesteśmy akceptować pogląd, że każdy człowiek niezależnie od tego, jaką ma skórę, kolor skóry, czy wyznanie jest tak samo wartościowy i ma te same prawa. Równość jest ważną zdobyczą naszej kultury i pozwala nam dystansować się wobec naszej subiektywnej perspektywy.

Tak czy inaczej to dystansowanie się wobec własnej perspektywy wcale nie jest łatwe, o czym świadczą sytuacje, w których stawiamy siebie (lub swoich) w uprzywilejowanej pozycji. W psychologii nazywamy to zjawisko centryzmem. Utrudnia nam ono, a czasami wręcz uniemożliwia spojrzenie na rzeczywistość z cudzej perspektywy. Często jest to trudne wobec innych ludzi, a co dopiero, jeśli ma to dotyczyć istot pozaludzkich. Sprawdźmy jednak, jaka jest ta cudza perspektywa? Gdybyśmy na moment zamienili się w żabę, czy z tego

*Każda z istot jest w tym samym, absolutnym stopniu wartościowa. Wartościowa sama w sobie, sama przez się, niejako od wewnątrz*



punktu widzenia jej życie jest bez wartości albo jest mniej wartościowe od życia człowieka? Oczywiście, że nie. Żaba dla siebie jest bardziej wartościowa niż jakiś człowiek. Każda istota jest dla siebie centrum wszechświata i z jej perspektywy inni są mniej ważni.

Zobaczmy, że nawet, jeżeli umówimy się i dodatkowo usankcjonujemy to prawnie, że wszyscy ludzie są równi (w równym stopniu wartościowi), to subiektywnie każdy z nas dla siebie jest bardziej wartościowy niż jakiś obcy człowiek.

Zatem mamy niezliczone istoty (w tym ludzkie), które są dla siebie centrum wszechświata (nawet jeżeli nie zdają sobie z tego sprawy na nasz ludzki sposób). Oznacza to, że każda istota realizuje właściwą sobie naturę. Będąc dla siebie centrum wszechświata jednocześnie wskazuje na immanentną wartość, jaką posiada. W tym znaczeniu nie ma żadnej różnicy między mną, a tobą, ale też między człowiekiem, a psem, orłem, rybą, komarem czy żabą. Każda z tych istot jest w tym samym, absolutnym stopniu wartościowa. Wartościowa sama w sobie, sama przez się, niejako od wewnątrz.

A co, jeżeli jakiś tygrys będzie mnie chciał zjeść? Co, jeżeli będzie to ostatni przedstawiciel tego gatunku? Czy mam prawo się bronić? Czy mam prawo zabić? Czyje życie jest tutaj bardziej wartościowe? Oczywiście, że moje – z mojej perspektywy. Oczywiście, że tygrysa – z jego perspektywy.

Dlatego na gruncie głębokiej ekologii mówimy o równości biocentrycznej i o przyrodzonej wartości każdej istoty. Nie ma ważniejszych i mniej ważnych. Z perspektywy całości wszystko i każdy jest tak samo ważny w stopniu absolutnym. Nie ma bowiem uniwersalnego kryterium, które pozwalałoby na różnicowanie i wazenie wartości wobec innych istot. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Jednak my ludzie – póki co, prawdopodobnie – jesteśmy jedynymi, którzy zdają sobie z tego sprawę. Zatem ten przywilej pociąga za sobą również szczególny obowiązek: pamiętanie na co dzień o tym, że inne istoty są równie wartościowe jak ja. I że życie żaby jest równie cenne, jak moje (choć dla mnie samego moje będzie zawsze cenniejsze). To stwierdzenie wydaje się sprzeczne, ale zauważmy, że w świecie ludzkim z podobną sprzecznością borykamy się również na co dzień i jakoś sobie z nią radzimy. Bo jakkolwiek normy prawne sankcjonują równość wszystkich ludzi, to jednak z perspektywy konkretnej osoby ona sama jest dla siebie ważniejsza niż inni. Podobnie jest również z naszymi bliskimi, których uważamy za bardziej wartościowych niż obcych i jak przychodzi co do czego, to bardziej skłonni jesteśmy ratować ich niż kogoś, kogo nie znamy. Jak więc widać żyjemy z tym różnicowaniem cały czas, choć na innym poziomie rozważań każdy z nas raczej zgodzi się z twierdzeniem, że wszyscy ludzie są równi i mają te same prawa.

Jeżeli trudno ci tolerować ten paradoks, to jest jeszcze jedna bardzo dobra odpowiedź na pytanie „czy życie żaby jest tak samo wartościowe jak życie człowieka”. Ta odpowiedź to: NIE WIEM.



## Kto jest naszym przeciwnikiem?

Naprawdę można się nieźle zezłościć! Na te wszystkie korporacje bezlitośnie eksploatujące Ziemię, na urzędników, którzy są przekupni albo po prostu głupi i nie chronią jak należy przyrody, na leśników widzących jedynie kubiki drewna, a nie piękny las, na biznesmenów, którzy chcą inwestować w miejscach dziewiczych, na drogowców, myśliwych, genetyków, cyrkowców, handlarzy zwierzętami, mięsożerców, narciarzy zjazdowych, motocrossowców, nacierzy, kierowców samochodowych, chrześcijan, energetyków, hodowców zwierząt... Uff! Czy to już koniec? Nie, jeszcze można się zezłościć na ekologów, tych z innej organizacji, że zajmują się nieistotnymi sprawami albo nie dość głęboko kochają Matkę Ziemię.

Jak więc widać mamy wystarczające powody, aby wypowiedzieć wojnę całemu światu. Nie ma chyba żadnego człowieka, który nie znalazłby się na tej liście. No, chyba, że jestem nim ja. Samych siebie zwykle traktujemy łagodniej i dużo łatwiej jest nam pomstować na innych. Zatem sam przeciw światu. Bardzo chętnie rzucimy pierwszy kamieniem...

*Ten, kto odkrywa siebie w swoim przeciwniku zachowuje spokój umysłu i nie przywiązuje się do rezultatów własnego działania*

Ale zanim... może z uwagą przyjrzymy się temu cudownemu wynalazkowi, który nosi nazwę „Przeciwnik”.

Przed wszystkim nasz przeciwnik pozwala nam określić to, kim my sami jesteśmy: poprzez opozycję definiuje nasze granice. Cały jednak problem w tym, że za bardzo się później identyfikujemy z tym własnym wizerunkiem. Wielu psychologów podkreśla, że nie jesteśmy tym, kim myślimy (o sobie), że jesteśmy. Iluzoryczność naszego autowizerunku wynika właśnie z tego, że odrzucamy swoją ciemną stronę i widzimy ją w tych, którzy są naszymi przeciwnikami i wrogami. To bardzo ważny moment, bo patrząc na swoich wrogów (lub ludzi, których nie lubisz) możesz zobaczyć swój cień, czyli siebie, w tej części, której nie akceptujesz i z którą się nie identyfikujesz. Ale tak czy owak, TO JESTEŚ TY!

Ten zabieg wyodrębnienia przeciwnika pozwala jednocześnie samemu poczuć się dobrze. Bo przecież od-tąd już całe zło jest na zewnątrz. Wewnątrz jest czysto, na zewnątrz jest brud. Tak oto stajemy się aniołami, co daje nam kolejną moralną przewagę nad naszym przeciwnikiem i dodatkowo usprawiedliwia często nie-godziwe działania wobec niego.

W ten właśnie sposób od setek tysięcy lat prowadzimy wojny z innymi ludźmi, ale też i z przyrodą. Ona przecież też może stać się przeciwnikiem. I rzeczywiście staje się nim, gdy przeszkadza w realizacji różnych planów. Niezależnie jednak od tego czy walczymy z wrogiem ludzkim, czy pozaludzkim, to zawsze jest to wojna z samym sobą, z tą częścią, którą wykroiliśmy z siebie i wrzuciliśmy w sztyl pod tytułem „Przeciwnik”.

Co można z tym zrobić? Zauważcie, że, mimo iż nie lubimy tych, którzy są po drugiej stronie barykady, to jednak coś nas do nich przyciąga. Układ dąży do zwania. W gruncie rzeczy jest to błogosławieństwo, bo-wiem stając oko w oko ze swoim przeciwnikiem mamy jedyną okazję, aby odkryć swój cień, czyli zobaczyć w nim siebie. Ale żeby to nastąpiło potrzebna jest szczególna uważność i świadomość. Badając swoje uczucia i przyglądając się uczciwie sobie dajemy sobie szansę odkrycia w tym drugim samego siebie. Bo jakkolwiek to może brzmieć dziwnie nasz przeciwnik jest naszym lustrem. W tym momencie odkładamy broń.

Czy oznacza to, że rezygnujemy z naszych wartości i np. pozwalamy innym niszczyć Ziemię? Nie, zdecydowanie nie! Wiemy już przecież, że ten, kto odkrył swoją głęboką jedność z Ziemią nie może już tego nie robić. Nie może o nią nie dbać. W tej sytuacji, kiedy znika przeciwnik, znika również obsesyjna koncentracja na nim, chęć zniszczenia go, wyeliminowania go. Krótko mówiąc, znika agresja, znika wojna; nie znika natomiast działanie. Ale i ono staje się już inne. Zamiast zachowywać się agresywnie i walczyć do ostatniej kropli krwi możemy jedynie prosić tego, kto stoi po drugiej stronie, by odstąpił od swojego zamiaru. A jeśli to nie skutkuje, to pozostaje nam tylko przyjąć to rozwiązanie jako to, które zaistniało. Innego być nie mogło na ten moment. Ten, kto odkrywa siebie w swoim przeciwniku zachowuje spokój umysłu i nie przywiązuje się do rezultatów własnego działania.

Za oknem świeci słońce. Obdarza swym światłem i ciepłem wszystkich. I tych dobrych i tych złych. A może po prostu świeci nie stawiając żadnych warunków. Życiodajny deszcz też pada i na tych i na tamtych. Idąc do lasu widzimy, że nie ma tam organizmów szkodliwych i pożytecznych, że z perspektywy całości nikt nie jest naszym wrogiem.

Ilustracje potrzebujemy takich lekcji?





## Co się musi stać, by człowiek zmienił swoje podejście do przyrody?

No niby wszyscy kochamy przyrodę. Chyba nikt o zdrowych zmysłach nie będzie twierdził, że nie lubi bądź nienawidzi ziemi, powietrza, wody, roślin i zwierząt. A jednak, jak przychodzi co do czego, wielu z nas skłonnych jest poświęcić te wartości w imię wygody, pieniędzy lub innych doraźnych i egoistycznych interesów. Dlaczego tak jest i może - ważniejsze, co może to zmienić?

Nasze działania w świecie, w tym nasza toksyczna relacja z naturą bardzo przypomina funkcjonowanie osoby uzależnionej np. od alkoholu. Alkoholik też w głębi swojego serca (tak jak chyba każdy człowiek) pragnie szczęśliwej i zdrowej rodziny, świata, w którym może czuć się dobrze oraz zdrowego czyli opartego na zaufaniu i poczuciu własnej wartości stosunku do samego siebie. Na najgłębszym poziomie

*Jedyne, co mogę zrobić to poddać się z pokorą i zaufaniem sile wyższej. Niech ona mnie prowadzi mądrością przekraczającą mój uzależniony umysł*

wszyscy chyba pragniemy tego samego. Również nasze głębokie intencje dotyczące przyrody są dobre i zdrowe.

Tak czy owak za bardzo nam nie wychodzi, jako też i alkoholikowi. Bo nie o intencje tutaj idzie.

Tak jak alkoholik jesteśmy chorzy. Objawia się to tym, że wydaje się nam, że potrzebujemy czegoś, bez czego możemy się spokojnie obyć. Zabiegając o to, niszczyliśmy świat i siebie. Otaczanie się przedmiotami, pogoń za pieniędzmi, pokładanie nadmiernych nadziei w technologii, przymus kontrolowania naturalnych procesów, są dla nas tym samym czym alkohol dla alkoholika. To nasze uzależnienie od dobrobytu, konsumpcji i kontroli pozwala nam nie konfrontować się z rzeczywistością, która wydaje się dla nas przerażająca, groźna i nieprzewidywalna. Alkohol daje złudne poczucie omnipotencji. My wykorzystujemy do tego technologie, dzięki którym czujemy się wyjątkowi i lepsi, mogący wywierać wpływ na rzeczywistość. Uzależnienie od technologii obnaża jednak nasze poczucie bezradności, słabości i zagubienia w świecie. Próbowujemy też podobnie jak alkoholik wypełnić gadżetami wewnętrzną pustkę, która rodzi się z nieumiejętności nawiązania głębokiej relacji z ludźmi, ze światem i absolutem.

Najważniejsze jednak jest to, że wydaje się nam, że wszystko jest w porządku. Alkoholik też nigdy nie przyzna się, że ma problem. Próbuje pokazywać światu, ale może przede wszystkim sobie, że jest osobą zdrową i normalną. Psychologowie nazywają to systemem iluzji i zaprzeczeń. Krótko mówiąc alkoholika nie można przekonać, że jest chory. My również dokonujemy nieprawdopodobnych i karkołomnych myślowych piruetów, by utwierdzać się w złudnym przekonaniu, że wszystko jest OK. Podtrzymujemy swoje dobre samopoczucie kupując kolejny gadżet i wydaje się nam, że znamy lekarstwo na nasze bóle, które ledwo przeuczujemy. To jednak tylko dodatkowo nas (i nie tylko nas) pogrąża. Mimo coraz wyraźniejszych sygnałów, że sytuacja, w jakiej jesteśmy prowadzi nas wprost do zagłady, nic sobie z tego nie robimy. Albo nie dopuszczamy do siebie tej świadomości albo tak interpretujemy informacje, że uspokojeni możemy pozwolić sobie na kolejną dawkę uzależniającego dobrobytu. Może dlatego taką niezwykłą rolę w naszym życiu odgrywa rozrywka i zabawa. Nie tyle jest to spontaniczna radość zabawy ile przymus robienia czegoś, co odsunie świadomość problemu.

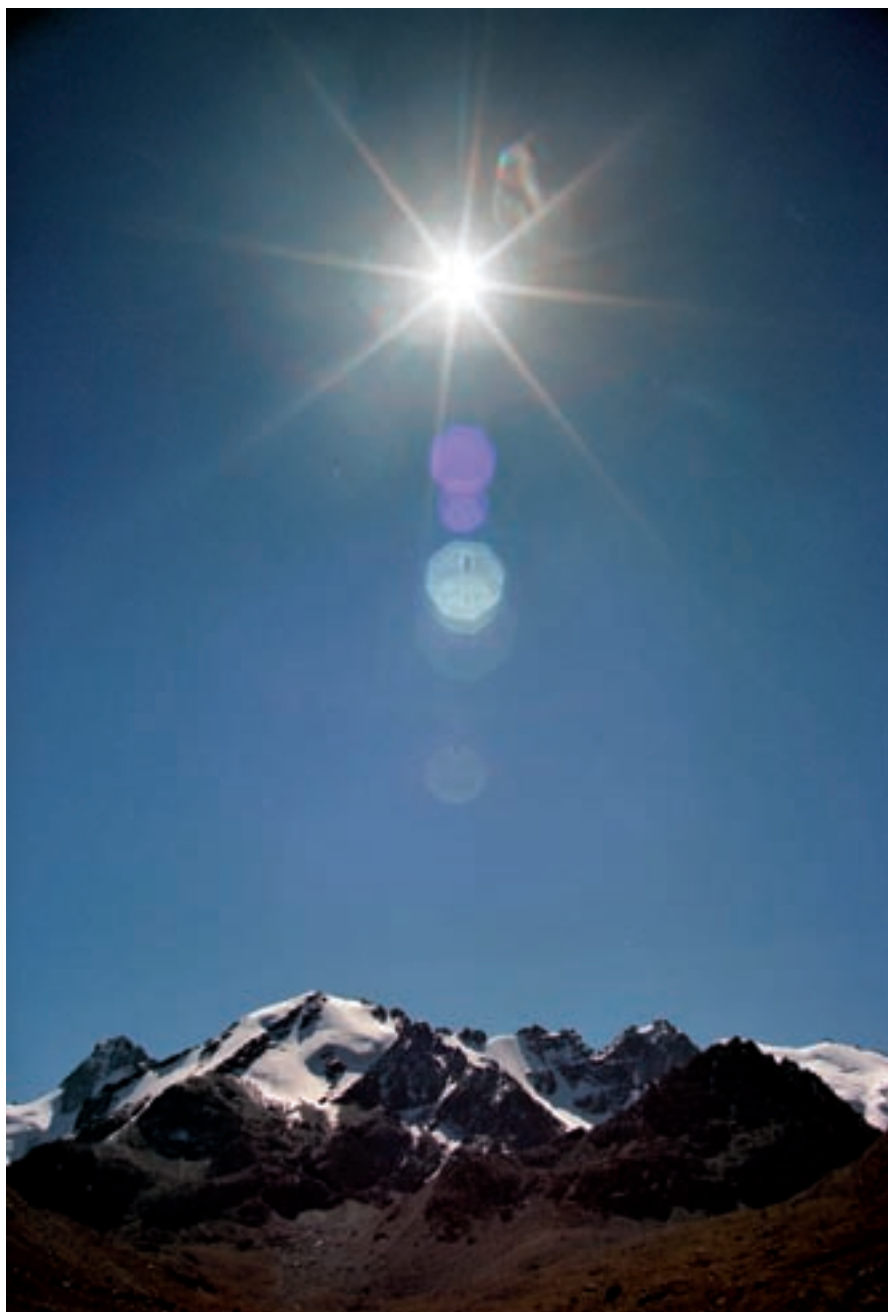
Funkcjonowanie alkoholika, jak wskazują specjaliści, oparte też jest na systemie dumy i kontroli. Alkoholik wierzy, że świat jest u jego stóp. Takiej osobie bardzo trudno się poddać i podporządkować wymogom sytuacji. Zwykle alkoholik oskarża i obarcza odpowiedzialnością wszystko i wszystkich, byle nie siebie, za to, co nie dzieje się zgodnie z jego planami. A do planów tych podchodzi perfekcyjnie nie tolerując żadnego odstępstwa. Czyż podobnie nie jest z nami? Nasza arogancja w podejściu do przyrody, z przekonaniem, że my ludzie wiemy najlepiej oraz że świat powinien być taki, jak go wymyślimy, pokazuje, jak bardzo jesteśmy przywiązani do własnej dumy i kontroli. Wszystko ma być tak, jak sami zaplanujemy. Musimy kontrolować naturalne procesy, bo wydaje się nam, że gdybyśmy tego nie robili, to nasz świat pewnie by się rozpadł. Nałogowo (w oparciu o przymus kontroli) regulujemy nasze relacje ze światem podobnie jak osoba uzależniona poprzez alkohol reguluje swoje emocje i relacje z innymi.

Czy jest z tego jakieś wyjście? Pierwszym krokiem dla alkoholika jest przyznanie się przed sobą i innymi, że jest osobą chorą. Co ciekawe, skłania go do tego nie perswazja np. bliskich osób, czy przeczytanie mądrej książki o uzależnieniu, ale najczęściej jakieś dramatyczne wydarzenie określane mianem „osiągnięcia dna”. Krótko mówiąc alkoholik musi otrzeć się niemalże o śmierć, musi zostać przyparty do muru, do dna, by zobaczyć w przeblasku oczywistości, że jest chory. Przyznanie się do tego, jest jednocześnie zerwaniem iluzji, jest zejściem z piedestału dumy i kontroli.

Co więc dla nas jest ratunkiem? Czym dla ludzkości będzie to dno, po osiągnięciu którego będziemy w stanie się przebudzić? Obserwując rozwój wydarzeń widać, że nieuchronnie zbliżamy się do tego dna i w tym sensie jest to najlepsza rzecz, jaką możemy sobie zafundować.

Może potem będziemy mogli powiedzieć z głębi serca: tak, jestem osobą chorą, nie jestem w stanie sam się z tym uporać. Jedyne co mogę zrobić to poddać się z pokorą i zaufaniem sile wyższej. Niech ona mnie prowadzi mądrością przekraczającą mój uzależniony umysł.

Ta Siła Wyższa już od kilku miliardów lat na tej planecie manifestuje się w tym, co jest. I ciągle do nas mówi. Tylko, że my nie słuchamy pijani własnym światem.



## Jak pogłębiać swój związek z przyrodą? Czyli o zimowym przesileniu

Grudzień. Idą święta. Narodziny Chrystusa. Choinka, wigilijna kolacja, prezenty. Ale też szal zakupów, pośpiech, napięcie, objadanie się bez umiaru, przesiadywanie przed telewizorem całymi dniami, konfrontacja z problemami rodzinnymi...

Pod tym całym zamieszaniem: wielkim, religijnym wydarzeniem oraz małymi (może tylko z pozoru) ludzkimi sprawami, kryje się jednak coś bardzo podstawowego, coś, o czym większość z nas nie pamięta.

22 grudnia, po raz kolejny zupełnie niepostrzeżenie, w naszej szerokości geograficznej będzie rodziło się światło.

Ziemia po łagodnym i pełnym, półrocznym wydechu delikatnie zacznie dokonywać wdechu. Przesilenie zimowe.

*Światłość i ciemność nie tyle walczą ze sobą, ile wzajemnie się przenikają, dopełniają, przemieniają jedno w drugie oraz ostatecznie tworzą zupełnie nową całość, w której może rozkwitać życie*



Na samym dnie ciemności, w czeluściach chłodu, uśpienia, śmierci i wycofania zakiełkuje światło i powoli będzie rosnąć w siłę, stopniowo wypierając ciemność. Tam gdzie zwycięża i tryumfuje ciemność, tam też już rozpoczyna się świetlisty pochód, który zakończy się dominacją jasności oraz jednoczesnymi narodzinami ciemności. Tak oto światłość i ciemność nie tyle walczą ze sobą ile wzajemnie się przenikają, dopełniają, przemieniają jedno w drugie oraz ostatecznie razem tworzą zupełnie nową całość, w której może rozkwitać życie.

Jakaż to cudowna lekcja! Wszystko tutaj jest potrzebne, wszystko ma swoje miejsce i wszystko zależy od wszystkiego. Bo gdy spojrzeć głęboko w ciemność dostrzeżemy światło, a gdy spojrzeć głęboko w światło zobaczymy ciemność.

Na tej organicznej mądrości, nasi chrześcijańscy przodkowie ufundowali nam historię narodzin Boga, czyli Światłości oraz przekonanie, że pojawia się Nowe, które odmieni świat. (Stąd bliskość świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku).

Dzisiaj już niewielu z nas pamięta, co kryje się pod narodzinami Pana Jezusa i obrzędkiem Nowego Roku. Prawie nikt nie świętuje przesilenia, choć to właśnie ono jest sprawcą całego tego zamieszania. Tak, zapomniałmy już, że słońce i Ziemia w swym cyrkularnym tańcu podtrzymują nasze kruche życie. Świadomość naszego związku z tym odwiecznym, przyrodniczym procesem (przy którym historia chrześcijaństwa, jak i każdej innej religii jest zaledwie mrugnięciem powieki) zastąpiliśmy wzruszającą historią narodzin dzieciątka oraz konsumpcyjnym rozpasaniem. Tak oto zrobiliśmy kolejny krok, który oddala nas od tego, co podstawowe, istotne, organiczne i przyrodzone.

Nasi dalecy (przedchrześcijańscy) przodkowie przywiązywali ogromną wagę do przesileni i równonocy. To właśnie te momenty były podstawowymi kotwicami stabilizującymi wszechświat, dającymi poczucie porządku, cykliczności i przewidywalności. Świętowanie tych momentów było jednocześnie podkreśleniem własnych głębokich związków z procesem przemian, było deklaracją przynależności do porządku większego od czegokolwiek, co człowiek wymyślił. Było aktem wiary i nadziei w mądrość egzystencji, w sakralny i tajemniczy porządek, dzięki któremu pojawiło się życie i dalej mogło trwać.

Dzisiaj traktujemy to jak nieszkodliwy zabobon, pogańską herezję lub też ciekawostkę antropologiczną. A przecież ciągle w zakamarkach naszej psychiki potrzebujemy kultuwowania tego momentu w jego ekologicznym wymiarze. Głęboko tęsknimy za powrotem do tej organicznej i dosłownej prostoty przesilenia. Tak jak nasi przodkowie potrzebujemy celebracji i rytuałów, które pozwalają nam czuć własną przynależność do odwiecznego porządku życia i śmierci. I nie chodzi tutaj o to, by zanegować Święta Bożego Narodzenia lub żeby nie świętować Nowego Roku. Jeśli jest to część naszej tradycji kulturowej, to uczestniczmy w tym w sposób świadomy i zrównoważony. Ale też nie zapominajmy o Ziemi i Słońcu! Nie zapominajmy o tym cudownym planetarnym oddechu wszystkich istot, o tym, że sami jesteśmy tym oddechem i wpisujemy się w kolistą tanię światła i ciemności, życia i śmierci.

Zatem pozwólmy sobie w ten szczególny dzień, by zrobić coś wyjątkowego, coś, co da wyraz naszym głębokim związkom z naturą. Pójdźmy do lasu lub parku, ale inaczej niż na zwykły spacer. Niech każdy krok, każdy nasz oddech będzie ruchem i oddechem Ziemi. Połóżmy się na śniegu i poczujmy jak całe nasze ciało jest przyciągane przez planetę. Pokłońmy się z wdzięcznością słońcu oraz księżycowi i gwiazdom, bo w końcu jesteśmy dziećmi wszechświata. Przygotujmy uroczystą kolację w intencji przyrody, dziękując jej za to, że możemy być i oddychać. Złóżmy sobie życzenia, ale tak, jakby przemawiała przez nas Ziemia, a nie nasze małe, egoistyczne „ja”. Rozpalmy ogień, po to by rozświetlić mrok, bo czas go właśnie rozświetlić. I podzielmy się swoją intencją bycia blisko z Ziemią; bycia nią samą.

To prawdziwy przywilej spędzić taki czas z innymi, bliskimi ludźmi, którzy podobnie czują i przeżywają ten dzień. Bycie razem z innymi w takiej chwili daje szczególną głębię związku nie tylko z przyrodą, ale też z innymi ludźmi. To prawdziwy czas radości, cieszenia się własną bliskością oraz dawania sobie wzajemnie siły w trudnej drodze pracy dla przyrody, dla samego siebie. Wspólne siedzenie przy ogniu, śpiewy, tańce oraz ucztowanie pozwalają naszej świadomości na dostrojenie się do planetarnego rytmu, pozwalają na odkrycie właściwego punktu odniesienia.

Praktykujmy przesilenie. Praktykujmy samotnie, a jeszcze lepiej w grupie. Potrzebujemy tego jak nigdy. Potrzebujemy tego i my i Ziemia.



## Jaki sposób życia byłby najlepszy dla nas i Ziemi?

Pozwólcie, że sobie pomarzę. Mógłbym zacząć tak, jak swego czasu Martin Luter King: miałem sen. W tym śnie ludzie, inne istoty oraz żywioły żyły w zgodzie ze swoją prawdziwą naturą. Nie oznacza to, że w tym świecie nie było cierpienia, chorób i śmierci. Nie, to wszystko było też obecne, bo tak naprawdę cierpienie, choroby i śmierć są jak najbardziej częścią naturalnego porządku rzeczy. Zatem nie był to jakiś wyidealizowany raj wiecznej szczęśliwości. Nie, to było zwykłe, ziemskie życie. A jednak było ono zupełnie inne od tego, które obecnie prowadzimy.

Ludzie żyli w niewielkich kilkudziesięcioosobowych społecznościach. Grupy zajmowały określony obszar i gospodarowały na nim. Ludzie na co dzień zajmowali się pracą, która służyła im i całej społeczności. Nie było bowiem sprzeczności między tym co chce jednostka, a co jest dobre dla ogółu. Działo się tak z tego powodu, że ludzie identyfikowali się z czymś większym niż osobiste, indywidualne cele, stąd nie było problemu, by za wszelką cenę dążyć do własnego widzimisię kosztem innych. Nie było również sprzeczności między interesem społeczności, a dobrem przyrody. Ludzie brali dokładnie tyle ile potrzebowali.

*Życie tych ludzi było pełne. Mieli bowiem bliski kontakt ze sobą, z innymi, z Ziemią i Absolutem*

A potrzebowali raczej niewiele: proste odzienie, jedzenie, picie, schronienie. Oczywiście czasem czegoś brakowało, ale wtedy godzili się na to z pokorą. Skromne środki oraz ich miejscowa, względna dostępność powodowały, że ludzie niechętnie wypuszczali się w obce strony. Nie potrzebowali więc transportu, samochodów, autostrad, samolotów. Wszystko lub prawie wszystko, co niezbędne mieli na miejscu.

W związku z tym, że ludzie korzystali ze skromnych środków nikt nie produkował skomplikowanych maszyn. Korzystano jedynie z prostych narzędzi, które wszakże wystarczały do wykonania wszystkich prac. Brak maszyn powodował, że pracy było do wykonania dużo i nikt nie narzekał na jej brak. Ludzie aktywnie pracowali na rzecz swojej społeczności tak, jakby pracowali dla samych siebie, bo w istocie „ja” tych ludzi było tożsame z grupą, a nawet z całym fizycznym otoczeniem. Aktywność ludzi była przede wszystkim fizyczna, dlatego ich ciała były zdrowe i krzepkie. W tych warunkach nie było podziału na czas pracy i czas wolny. Nie było weekendów, urlopów i wakacji. Ludzie pracując nie mieli poczucia, że pracują i dlatego nie podchodzili z niechęcią czy lenistwem do tego, co było do zrobienia. Praca była czymś naturalnym i organicznym, jak jedzenie czy oddychanie, które przecież także nie wymaga przymusu i poświęcania się.

Ludzie ci nie dostawali za pracę pieniędzy. Nie były one potrzebne, bo też nikt nie marzył o tym, by mieć więcej niż inny lub więcej niż to konieczne. Społeczność solidarnie i sprawiedliwie dzieliła swoje zasoby i każdy miał tyle, by wieść godziwe, skromne życie na podobnym poziomie, co inni.

Praca była przeplatana zabawą oraz rytuałami religijnymi. Tak naprawdę jednak nie było granic między tymi trzema elementami. Wzajemnie się one przenikały i w każdym z tych elementów były zawsze obecne pozostałe. W tym sensie duchowość tych ludzi przenikała wszystkie aspekty życia. Każda czynność miała wymiar duchowy i służyła jednocześnie do podkreślania własnych i grupowych głębokich związków z Absolutem, który manifestował się we wszystkim, co było obecne. Dlatego też duchowość tych ludzi była bardzo blisko Ziemi i przyrody.

Decyzje w grupie były podejmowane wspólnie przez wszystkich jej dorosłych członków. Każdy miał prawo się wypowiedzieć. Bezpośrednia komunikacja dawała poczucie wpływu na bieg rzeczy i jeszcze bardziej sprzyjała identyfikacji jednostki z grupą.

Życie tych ludzi było pełne. Mieli bowiem bliski kontakt ze sobą, z innymi, z ziemią, Absolutem i przyrodą. Widzieli siebie jako połączonych z całym żywym wszechświatem, który był ich prawdziwym domem. Kochali tę swoją ziemię i dbali o nią, jak o samych siebie. Nie potrzebowali zbyt wiele, a to, co potrzebowali było na miejscu. Nie śpieszyli się. Oddychali czystym powietrzem, pili czystą wodę i jedli zdrowe, mało przetworzone jedzenie. A kiedy przychodził ich czas, umierali w takim wieku, jaki był im pisany w związku z życiem, jakie prowadzili. Nie miało większego znaczenia to, czy ktoś żył lat 30 czy 80. Nikt nie chciał żyć dłużej i za wszelką cenę. Liczył się bowiem ten dzień i ta chwila. Bo przecież umiera się zawsze w teraźniejszości niezależnie od ilości przeżytych lat. Poza tym ludzie ci zdawali sobie sprawę z tego, że śmierć jest tylko kolejnym obrotem koła. Przyjmowali choroby i śmierć jako coś naturalnego i godzili się na nią, choć oczywiście przeżywali w związku z tym również uczucia smutku, rozpacz, złości i żalu.

Ludzie ci byli otwarci na swoje uczucia, przeżywali je i wyrażali, próbując zrozumieć siebie i innych. Dzięki temu, jakkolwiek zdarzały się w grupie konflikty, to rozwiązywały się one niejako same, gdy członkowie grupy zaczęli szczerze mówić o sobie i swoich uczuciach.

To marzenie, ten sen z pewnością coś wam przypomina. Prawdopodobnie przez większość czasu naszej gatunkowej historii właśnie takie lub podobne życie wiedliśmy. Wspomnienie tego jest pewnie zapisane w każdym z nas gdzieś głęboko w zakamarkach naszej zbiorowej nieświadomości. Może też odkrywasz w sobie, przeczuwasz, intuicyjnie doświadczasz takiej wizji życia?

Dzisiaj żyjemy inaczej i wszystko wskazuje, że coraz bardziej będziemy oddalać się od tej sennej wizji, od tego marzenia. Czy to dobrze czy źle?

A może trzeba powiedzieć, że jest jak jest. I że ten sposób życia, który praktykujemy obecnie zawiedzie nas tam, gdzie nas zawiedzie. I będzie to najlepsze, co mogło się nam przydarzyć. Nam oraz całej planecie...



# Zamiast zakończenia, czyli jestem spokojny o Ziemię

Jest źle. Klimat się ociepla, gatunki wymierają, lasy padają pod naporem wielkich korporacji, rzeki są regulowane, oceany stają się martwymi pustyniami, oddychamy coraz bardziej zatrutym powietrzem, jemy zatrute jedzenie i zasypujemy siebie i cały świat górą śmieci. Raporty na temat stanu planety takich prestiżowych instytucji jak Klub Rzymski, czy World Watch Institute są naprawdę alarmujące, tym bardziej, że negatywne zmiany zachodzą w dramatycznie szybkim tempie, jeżeli przyłożyć do nich planetarną skalę czasu.

W oparciu o te wszystkie fakty, działają ludzie i organizacje, których celem jest zahamowanie niekorzystnych zmian. Staramy się chronić zachowane jeszcze obszary dzikiej przyrody. Troszczymy się o gatunki rzadkie i zagrożone wymarciem. Namawiamy do zmiany stylu życia na bardziej sprzyjający przyrodzie. Również rządy wielu państw zdają się coraz bardziej dbać o stan środowiska naturalnego (przynajmniej w deklaracjach).

A jednak pozwólcie, że postawię w tym miejscu tezę kontrowersyjną. Ziemi nic nie grozi. Nam zresztą też.

Jak to jest możliwe w świetle wyżej wymienionych faktów? Otóż moja hipoteza jest taka, że zdecydowanie nie doceniamy natury i siebie. Oznacza to, że jeżeli przyjmiemy założenie, że jesteśmy częścią przyrody, a przyrodę traktujemy jako zintegrowaną całość, bez podziałów na ożywioną i nieożywioną, i dodatkowo widzimy ją w perspektywie kosmicznej, to możemy być naprawdę spokojni. Jeżeli jesteśmy pełni obaw, to prawdopodobnie wynika to z oddzielenia, które każe nam widzieć Ziemię w oderwaniu od kosmicznej ewolucji albo widzieć samych siebie w oderwaniu od Ziemi. Odczuwany przez nas lęk i obawa zawsze wyrastają z przekonania o oddzieleniu, które uważam za podstawową iluzję. Ta iluzja jest cechą naszego umysłu i jednocześnie wpływa na formułowanie takich założeń dotyczących świata, które wzmacniają nasze obawy i... iluzję, będącą ich podstawą.

Przyjrzyjmy się zatem tym założeniom (opartym na iluzji oddzielenia) i skonfrontujmy je z założeniami opartymi na przekonaniu o podstawowej jedności wszystkiego.

## Gatunki (osobniki) czy całość (proces)

My, ludzie jesteśmy osobami. Jestem osobą, czyli kimś osobnym. Od najmłodszych lat uczymy się w ten sposób oddzielać się od tego, co na zewnątrz nas budując naszą małą, osobową tożsamość. Nie byłoby w tym jeszcze nic złego (wszak psychologowie podkreślają, że dobrze wyodrębnione „ja” sprzyja zdrowemu funkcjonowaniu), gdybyśmy z czasem przekraczali to ograniczenie i odkrywali podstawową jedność wszystkiego. Póki co jednak, zatrzymujemy się na tym personalnym poziomie świadomości i przywiązujemy się nadmiernie do swojego małego „ja”. Cała kultura świata zachodniego oparta jest na optyce małego „ja”, stąd takie jej określenia, jak: indywidualistyczna, liberalna (wolność i niezależność jako podstawowe wartości), rywalizacyjna i wewnątrzsterowna. To przywiązanie do „ja” jest źródłem naszych wszystkich obaw i lęków, łącznie z tym największym – przed śmiercią, czyli rozstaniem się ze swym małym „ja”.

To, że jesteśmy osobami w sposób radykalny wpływa również na sposób widzenia rzeczywistości. Otóż jawi się nam ona jako zbiór wyizolowanych elementów – osobników. Inaczej mówiąc projektujemy nasze małe „ja” na świat widząc w nim to, co widzimy w sobie, czyli oddzielenie. Ta perspektywa każe nam zwracać uwagę i zajmować się poszczególnymi osobnikami albo ich zbiorowościami, czyli gatunkami. Obdarzamy zwierzęta prawami, walczymy o ich prawa, chronimy wilka albo zagrożone wyginięciem rośliny. Staramy się odtworzyć gatunki będące już niemal na wymarciu; przechowujemy je w ZOO, by następnie je rozmnożyć i wypuścić na wolność. Jeżeli jakiś osobnik lub gatunek ginie, traktujemy ten fakt jako stratę.

Ale czy przyroda rzeczywiście coś traci? Kto doświadcza tej straty? Prawdopodobnie jedynym miejscem, w jakim się ona może pojawić jest nasz umysł. Nasz oddzielony umysł, który boi się utracić sam siebie i dlatego spostrzega jako stratę wypadnięcie innego elementu, który był spostrzegany jako oddzielony.

Przyjmując założenie, że nadrzędnym poziomem jest jedność wszystkiego, nic nigdy nie tracimy. Na tym poziomie mamy do czynienia z całością i towarzyszącym jej procesem, który wprawdzie zawiera w sobie zawsze jakieś części, ale który nie jest do tych części ograniczony, ani nie może być do nich sprowadzony. Poszczególne części mogą być utracone, ale proces (całość) nie może zostać utracony nigdy. Zawsze jest jakiś proces i zawsze jest jakaś nadrzędna całość. Każdego dnia tracimy mnóstwo komórek w naszym ciele, ale ono ciągle żyje. Oczywiście możemy stracić ich tyle, że umrzemy, ale nawet wtedy proces trwa dalej, jeżeli założymy, że jesteśmy częścią większej całości. Ostatecznie wszystkie cząstki, z których się składamy istnieją od miliardów lat; zmieniają się formy, w których uczestniczą i proces ten jest niezmienny i nic nie może mu zagrozić.

Mówiąc, że proces jest czymś wiecznym i niezmiennym, wskazuję na to, że przyroda zawsze sobie poradzi. Nawet wtedy, gdy sobie nie radzi, też jakoś sobie radzi. Jeżeli sobie nie radzi, to wygląda tak tylko z naszej, ludzkiej perspektywy oddzielenia. To właśnie z tej perspektywy pojawiają się uzurpatorskie stwierdzenia, że las bez człowieka zginie, że trzeba wycinać stare drzewa, żeby młode miały światło i las mógł trwać. Podobno lasy zostały już tak bardzo zmienione (równowaga jest tak mocno zachwiana), że przyroda bez nas sobie nie poradzi. Pozwólmy więc na to i zobaczymy, co się stanie. Może rzeczywiście las zginie, może pojawi się tam pustynia, może będzie tam bardzo mało życia, ale, czy oznacza to, że nie ma tam przyrody? Proces trwa nadal. Może on być inny niż ten, który my sobie wyobrażamy, albo którego byśmy sobie życzyli, ale jeżeli tak jest, to otwarcie powiedzmy, że chcemy mieć swoją wersję natury, że chodzi nam o siebie (nasze małe „ja”) a nie, że chronimy przyrodę. Bo przecież nie da się chronić tego, co jest zawsze. Nie da się chronić ani całości ani procesu.

## Stan obecny czy zmiana

Kolejną projekcją naszego oddzielnego JA jest przywiązanie do status quo i obawa przed zmianą. Zmiana jest dla nas zagrażająca, ponieważ przywołuje perspektywę najbardziej radykalnej zmiany, jaka nas czeka – śmierci. Jak już wcześniej pisałem nasze obawy przed śmiercią wynikają z lęku przed utratą małego „ja”. Przywiązanie do małego „ja” zmusza nas zatem do „zamrażania” rzeczywistości, do czynienia z niej jakiegoś przewidywalnego, niezmiennego schematu, który dzięki temu daje nam poczucie bezpieczeństwa. Inaczej mówiąc, tam, gdzie jest obawa, tam też jest silne pragnienie niezmienności oraz kontrolowania rzeczywistości. Oczywiście nie oznacza to, że ludzie nie dążą do rozwoju i do zmiany. Wiemy przecież, ile ludzkiej energii i zabiegów jest czynionych w kierunku wymyślania, odkrywania, ulepszania i wprowadzania zmian. Ale, gdy bliżej przyjrzeć się tym zabiegom, okaże się, że większość z nich (o ile nie wszystkie) służą właśnie owemu zamrażaniu rzeczywistości. Służą temu, aby nie poddać się naturalnemu biegowi rzeczy, służą lepszemu radzeniu sobie z lękiem przed zmianą, choć absolutnie nie są w stanie nic z tym lękiem zrobić, ponieważ nie rozwiązują naszego podstawowego, egzystencjalnego dramatu – dramatu przywiązania do małego „ja”.

Zatem boimy się zmiany, bo traktujemy ją w kategoriach straty. W ten sam sposób spostrzegamy przyrodę. Chcemy ją zachować w niezmiennym stanie dla siebie i przyszłych pokoleń. Ale czyż ta potrzeba nie jest daremną próbą „zamrożenia” tego, co ze swej istoty jest żywe i zmienne. Jeżeli mówimy, że chcemy coś zachować, wskazujemy jednocześnie, że nie godzimy się na proces; nie ufamy mu, boimy się go. Jeżeli tak



jest, to tym samym skazujemy się na wieczny dyskomfort i beznadziejną walkę z rzeką, którą próbujemy zawrócić albo zatrzymać kijem.

Zatem dla nas – ludzi wartością jest status quo. I to założenie po raz kolejny wynika z charakteru naszego umysłu. Przyroda natomiast jest w ciągłym ruchu, zmianie, procesie, którego w żaden sposób nie da się zatrzymać, a nawet gdyby się dało, to to, co zatrzymuje, jest właśnie samym procesem.

## Kryzys jest złem czy kryzys jest rozwojem

Tam, gdzie jest oddzielenie, jest też cierpienie. Przywiązanie do naszego małego „ja” powoduje, że każdą sytuację, każde warunki spostrzegamy w kategoriach sprzyjających lub niesprzyjających. Oczywiście robimy wszystko, aby te sprzyjające pojawiały się jak najczęściej, a te niesprzyjające najrzadziej. Niby nic w tym złego, przecież robią tak chyba wszystkie istoty na tej planecie, ale coś nas jednak od nich różni. Tym czymś jest prawdopodobnie nasze nadmierne przywiązanie do rezultatów tych zabiegów. To właśnie ono powoduje cierpienie w jego ludzkiej wersji. Wydaje się, że zwierzęta cierpią inaczej. Umierający kot szuka ustronnego miejsca, gdzie kładzie się i po prostu umiera. Drozd siedząc na gałęzi, o zachodzie słońca, bierze ostatni oddech, a potem bez żadnego patosu i rozpachy spada martwy na trawę.

Nasze cierpienie jest podszyte lękiem, dlatego tak bardzo staramy się unikać przykrości i tak bardzo gonimy za przyjemnością. Zachowania te, inaczej niż w przypadku zwierząt, często cechują się przymusem i nienasyceniem (w dążeniu do przyjemności).

Z tej perspektywy problemy, trudności, kryzys, ból i cierpienie traktujemy jako zło. W ten sam sposób spostrzegamy zjawiska w przyrodzie. Martwe drzewa są niepotrzebne, szkodniki szkodliwe, drapieżniki krwiożercze. Smutno robi się nam, gdy widzimy, że lew zabija młode geparda. Nie widzimy natomiast tego, że jest to sposób funkcjonowania całego układu, w którym i ten lew i młode geparda, razem z roślinożercami, trawą, owadami, słońcem, chmurami i wieloma jeszcze innymi istotami tworzą całość, której nic nie jest w stanie zagrozić.

No właśnie, czy rzeczywiście nic? A człowiek? Czyż nie doprowadza on do sytuacji, w której nie tylko gepardy są zagrożone? Czyż nie mamy tutaj do czynienia z globalnym kryzysem?

Rzeczywiście z perspektywy małego „ja”, gatunku, stanu obecnego, jest się czym przejmować. Zagrożamy wielu istotom, a może nawet całemu planetarnemu życiu. Niszczymy, degradujemy, eksploatujemy i zmieniamy świat tak, aby nam było lepiej. Ostatecznie też zagrażamy sami sobie.

A jak wygląda sytuacja z perspektywy całości? Otóż w tym przypadku kryzys nie jest złem, tylko sposobem dziania się procesu. W tym procesie zawsze było tak, że pewne części (osobniki, gatunki) wypadały, ponieważ okazywało się, że nie są wystarczająco dobrze przystosowane do istniejących warunków. Z punktu widzenia całości to wypadnięcie – jeżeli można tak powiedzieć – było najlepszą rzeczą, jaka mogła się zdarzyć. Inaczej mówiąc: całość (proces) ciągle eksperymentuje nie przywiązując się do rezultatów tego eksperymentu, bo jak już wcześniej napisałem, zawsze jest jakiś rezultat. Nie ma tutaj żadnego wartościowania, nie ma też płaczu nad grobem tych, co odeszli i nie ma też fanfar na cześć tych, co przychodzą.

Pojęcie kryzysu, z jego negatywnym wartościowaniem, jest kategorią ludzką (wiążą się z nią oceny i oczekiwania jego zakończenia), która nie ma nic wspólnego z perspektywą całości (procesu). Tam jest po prostu dzianie się i nawet, jeżeli nazwiemy je kryzysem, w niczym nie zmienia to charakteru tego dziania się, którego podstawowym atrybutem jest zmiana.

Może jest tak, że my, ludzie wywołując globalny kryzys ekologiczny, wpisujemy się w doskonałą mądrość natury, która dąży do samooczyszczenia istniejącego układu. Jeżeli zmniejsza się bioróżnorodność, jeżeli ludzie degradują środowisko, w którym żyją, to robiąc to, zmierzają do eliminacji obecnego układu, który jest źródłem kryzysu. Czyż nie przejawia się w tym doskonała mądrość procesu? To, co źle działa, skazane jest na wypadnięcie z ewolucyjnej gry. Jeżeli mówimy, że planeta znajduje się w głębokim kryzysie, to jest to najlepsza rzecz, jaka mogła się jej przytrafić, albo jaką sama sprowokowała. Kryzys jest tutaj aspektem procesu, który naturalnie i dynamicznie dąży do nowego punktu równowagi. Kryzys jest przedśmionkiem zmiany, która lada moment nastąpi. W tym sensie ci, którzy najbardziej niszczą Ziemię, najlepiej też przyczyniają się do tego, żeby przyroda „przechorowała” swoją chorobę i ostatecznie wyzdrowiała, eliminując jednocześnie przyczyny tej choroby, czyli istniejący układ razem z nami – ludźmi. (Czy ktokolwiek z was, kiedykolwiek czuł wobec nich wdzięczność z tego powodu?)

Wydaje się więc, że na własną prośbę wypadamy z tego układu i z tego powinniśmy się cieszyć. No może nie tyle cieszyć, ile przyjmować to takim, jakie to jest. Ale co, jeżeli przy okazji pociągamy za sobą innych?



Czy mamy do tego prawo? Czy jest to w porządku? Przecież inni tutaj nie zawinili. Poszukując odpowiedzi na te pytania, przyjrzymy się ostatniemu założeniu, które jest źródłem naszych kłopotów.

## natura czy Natura

Zastanawiając się nad tym, kto jest tutaj winny, a kto niewinny, wpadamy w kolejną pułapkę naszego małego „ja”. Wina lub jej brak jest możliwa wyłącznie w sytuacji, w której jesteśmy oddzieleni i spostrzegamy rzeczywistość jako zbiór wyizolowanych elementów. Wtedy dopiero możemy rozdzielać i przypisywać winę, ponieważ istnieje jakiś adresat. Jeżeli człowiek jest tutaj winny, to faktycznie stawiamy go poza istniejącym układem. Podkreślamy tym samym, że nie należymy do całości (ta jest przecież niewinna), jesteśmy jej przeciwstawieni (jako agresorzy), odcięci od niej i z tej pozycji (zewnętrznej) wywieramy na nią niekorzystny wpływ.

Jeżeli natomiast przyjmujemy założenie, że jesteśmy częścią przyrody, to o żadnej winie, czy odpowiedzialności nie może być mowy. Całość bowiem działa w oparciu o niezliczoną ilość wzajemnych powiązań każdego z każdym i wzajemne przeplatanie się zależności. W takim układzie funkcjonowanie jednego elementu zawsze zależy od tego, jak działa całość, a proces całości zawsze jest wypadkową wzajemnego przeplatania się części, choć z pewnością nie jest prostą sumą poszczególnych oddziaływań części. W takim wariancie nie ma nikogo winnego ani niewinnego, ponieważ, po pierwsze: nie można znaleźć adresata tejże winy, a po drugie: rozdzielanie odpowiedzialności jest jednocześnie zaprzeczaniem podstawowego faktu współistnienia (czyli współodpowiedzialności) wszystkich zależnych od siebie części w większej zintegrowanej całości.

W myśleniu wielu ekologicznych aktywistów problem ten wciąż jest nierozwiązany i w związku z tym istnieje tutaj sporo zamieszania, sprzeczności i niejasności. Z jednej strony bowiem zakładamy, że człowiek jest częścią natury, a myślenie, że jesteśmy poza albo ponad nią traktujemy jako niebezpieczną iluzję. Z drugiej jednak strony, sami stawiamy człowieka poza przyrodą traktując jego działania i wytwory jako nie mające nic wspólnego z naturą. To klasyczny antagonizm kultury i natury. W tym antagonizmie człowiek jest traktowany jako część, która faktycznie nie należy do całości, występuje przeciwko niej lub nie poddaje się jej prawom. Wszystkie ekologiczne hasła typu: żyj w zgodzie z naturą, bądź przyjazny naturze, dbaj o środowisko naturalne, itp., wpisują się w schemat, który stawia człowieka poza całością. Istnieje jakaś natura, jako obiekt i jesteśmy my, jako podmiot, czy autor określonego (dobrego lub złego) oddziaływania wobec niej. Czy zatem jesteśmy naturą (jednością), czy raczej rzeczywistość jest podzielona i człowiek oraz natura stoją po dwóch stronach barykady?

Jest takie powiedzenie zen: „tao, z którego można zboczyć nie jest prawdziwym tao”. Natura, od której można się oddzielić nie jest prawdziwą naturą. Jest to natura przez małe „n”, bo pozbawiona jednego z elementów. Natura przez duże „N” zawiera w sobie wszystko, ponieważ z perspektywy jedności bądź całości nie ma niczego, co mogłoby się znajdować poza lub na zewnątrz. Dlatego też człowiek, z całym swoim inwentarzem, jest nią. Zobaczmy jednak, że przyjęcie takiego założenia pociąga za sobą radykalne konsekwencje. Otóż zgodnie z powyższym należałoby powiedzieć, że np. w centrum wielkiego miasta jest tyle samo dziekiej przyrody, co w naturalnym lesie. Na autostradzie jest jej tyle samo, ile było miliony lat temu, gdy jeszcze człowieka tam nie było. Jeden z moich znajomych ekologów słysząc te stwierdzenia, bez zastanowienia powiedział, że woli naturalny las, niż centrum miasta. Większość z nas prawdopodobnie tak odpowie. Wilk czy jeleni też wolą las niż miasto. Ale w odróżnieniu od nas zwierzęta nie absolutyzują swoich wyborów i nie pociąga to za sobą ocen w rodzaju „złe miasto”. Tak samo wilk nie ocenia też dna oceanu jako złego miejsca – po prostu wybiera las. My ludzie, a szczególnie ekolodzy absolutyzujemy nasze wybory. Mówimy: „las jest bardziej naturalny niż miasto”, choć kryje się za tym płaszczyzna osobistych, subiektywnych preferencji („wolę, bardziej podoba mi się las niż miasto”). Innymi słowy, na poziomie relatywnych wartości (związanych z preferencjami naszego „ja”), natura występuje w wersji okrojonej i podzielonej; traktowana jest jako bardziej cenna niż świat ludzki; uważana jest za zagrożoną działalnością człowieka; jest eksploatowana, niszczone i bezpowrotnie traci swoje zasoby. Natomiast na poziomie absolutnego odniesienia, procesu, czy całości i jedności, istnieje wyłącznie duża Natura zawierająca w sobie i kulturę i naturę (przez małe „n”). Oczywiście, w wielkiej Naturze te wszystkie makabryczne ludzkie działania opisywane przez ekologów dzieją się, ale nie można ich w jakikolwiek sposób ocenić. Jest tak, ponieważ oceny pozytywne lub negatywne można wystawiać jedynie wtedy, gdy stoi się na zewnątrz, a w tym przypadku, jak pamiętamy, założyliśmy, że nie ma żadnego zewnątrz. Poza tym nie można ich ocenić, gdyż jakakolwiek ocena wprowadza podział na to, co jest właściwe i niewłaściwe, czyli dzieli Naturę na tą dobrą (naturalną) i tą złą (ludzką), czyli dzieli to, co ze swej istoty jest niepodzielone, jest jednością.



Zatem naturę przez małe „n” można zniszczyć i z pewnością to robimy, natomiast Naturze przez duże „N” nic nie grozi. Może być oczywiście tak, że tę przez małe „n” utracimy, ale nigdy nie jesteśmy w stanie utracić tej przez duże „N”, choć czy będzie się nam podobał ten świat, czy przetrwamy w nim - to już inny problem. To problem naszego małego „ja”.

## Co z tego wynika?

Powyższe rozważania mają bardzo poważne konsekwencje dla całego ruchu ekologicznego, którego aspiracją jest chronienie przyrody. Od razu dodajmy, chronienie przyrody przed człowiekiem. Tam, gdzie myślimy o naturze przez małe „n” rzeczywiście przyrodę trzeba chronić przed człowiekiem. Tam, gdzie chodzi o Naturę przez duże „N” ani nie ma czego chronić, ani przed kim. Zauważmy, że na tym poziomie absurdalnie brzmi stwierdzenie: przyroda chroni samą siebie, ponieważ sama sobie zagraża. Brzmi to absurdalnie, gdyż nie może być podzielone to, co zawsze stanowi jedność; jeżeli natomiast spostrzegamy przyrodę jako podzieloną, to prawdopodobnie jest to kolejna projekcja naszego małego „ja”, które z definicji znajduje się w stanie podzielenia (oddzielenia), jakkolwiek jest to iluzja.

Innymi słowy, zabiegając o ochronę przyrody podtrzymujemy i absolutyzujemy podstawowy dualizm, w którym my – ludzie i przyroda znajdujemy się na przeciwległych biegunach. Kogo albo co zatem chronimy? Czyż nie jest tak, że chronimy raczej nasze małe „ja” i jego projekcje, choć robimy to wykorzystując do tego przyrodę spostrzeganą w relatywnym, ludzkim wymiarze?

Jeżeli tak rzeczywiście jest, to skazujemy siebie i innych ludzi na trwanie w tym dualizmie oraz w innych dualizmach budujących się na tym pierwotnym. Z tego następnie wypływają niezliczone konflikty, ponieważ każdy dualizm ze swoją oddzielającą granicą jest jednocześnie linią frontu. Wokół tej linii frontu rozgrywają się wojny, w których zawsze ktoś wygrywa i ktoś przegrywa, choć dla całości nie ma to większego znaczenia.

Czy oznacza to, że nie powinniśmy nic chronić? Czy mamy usiąść wygodnie w fotelu z założonymi rękami i nic nie robić? Bynajmniej! Moją intencją nie jest zniechęcenie do działań, a tylko wskazanie na głębokie źródła tych działań, które najczęściej związane są z podstawowym dualizmem oraz uwikłane są w interes naszego małego „ja”. Moją intencją jest też wskazanie na inne źródła działań, które opierają się na założe-



niu, że cały wszechświat jest jednością, a my – ludzie uczestniczymy w tej jedności faktycznie nią będąc. To właśnie miałem na myśli pisząc na początku, że nie doceniamy natury ani siebie. Naprawdę i natura i my jesteśmy kimś znacznie szerszym i większym niż podpowiada nam na co dzień nasze małe „ja”.

Zatem, jak wygląda działanie z perspektywy jedności? W pewnym sensie jest to działanie bez działania. Ta taoistyczna zasada polega na tym, że w momencie, gdy utożsamiamy się z całością i procesem (Tao),



przestajemy działać z pobudek ludzkich (naszego małego „ja”) i zaczynamy poddawać się strumieniowi, który najlepiej wie, jaką drogę wybrać. To nie „ja” działam, ale się działa. Moje działanie jest wtedy prostym i koniecznym odzwierciedleniem mojej prawdziwej natury, natury wszystkiego, co jest. Działanie to nie wymaga myślenia, analizowania, nie wymaga również uzasadnień i powodów, dla których je podejmuję. Nie potrzebuję tutaj żadnej moralności albo etyki, nie potrzebuję przyzwolenia Boga, który sankcjonowałby to działanie. W tym stanie robię coś nie dlatego, że tak należy, że tak trzeba albo, że muszę, ale robię coś, ponieważ nie mogę tego nie robić. Jest to prosty, naturalny i spontaniczny stan podobny do oddychania, które przecież też samo się dzieje. Nie musimy go kontrolować, planować ani zastanawiać się nad nim. Wystarczy, że nim jesteśmy, a wtedy wszystko staje się proste. Jest tak oczywiście do momentu, gdy pojawia się ostatni oddech. Wtedy, (jeżeli jesteśmy w stanie jedności) tak, jak wszystkie inne oddychające istoty odchodzimy bez żalu i lęku.

W tym właśnie przejawia się bardzo ważna cecha działania z perspektywy jedności. Otóż działanie to nie wynika z lęku. Robimy coś nie dlatego, że nam coś zagraża albo coś możemy stracić, ponieważ w tym stanie nie ma żadnego zagrożenia ani straty. Robimy coś, bo rozpoznajemy siebie jako sam działający proces. Ważnym motywem jest tutaj również współczucie, którym obejmuje się wszystkie istoty w akcie odkrycia samego siebie w nich. Współczucie to nie jest ani litością ani nie każe widzieć innych jako gorszych, czy mniejszych. Jest raczej podstawowym i naturalnym wyrazem przekonania, że wszystko jest jednością. Jest jednocześnie najwyższym stopniem zaangażowania, bo niewymuszonym przez nic zewnętrznego. Zatem działanie współczujące i bez lęku jest pełne, a jego intencją z pewnością nie jest realizowanie interesu naszego małego „ja”.

Konsekwencją tego jest nieprzywiązywanie się do skutków własnego działania. Nie ma tu znaczenia, czy wygram, czy przegram, czy uda mi się ochronić coś, czy nie. Pamiętamy przecież, że w stanie jedności nie ma wygranych i przegranych, ponieważ nie ma dualizmu, nie ma dwóch stron. Zatem działanie to nie wymaga spełnienia jakichś szczególnych oczekiwań, co do rezultatów. Jeżeli coś uda mi się ochronić – to dobrze.



Jeżeli nie uda się ochronić – to też dobrze! W tym stanie każdą konsekwencję przyjmuje się jak dar losu. Każda bowiem konsekwencja jest elementem procesu, który się dzieje i przyjmowanie jej taką, jaka jest stanowi podstawowy wyznacznik zaufania do mądrości tego procesu. To bardzo ważne, bo wiemy przecież, ile jest walki, nienawiści, agresji, bólu i cierpienia po obu stronach barykady oddzielającej strony w konfliktach ekologicznych. W tego typu konfliktach, podobnie, jak w każdym innym konflikcie, żongluje się argumentami, wiedzą, prawdą, racją, czy Bogiem. Wszyscy uważają, że racja jest po ich stronie i wszyscy też są przekonani, że przeciwnik błędzi. W takich przypadkach zawsze chodzi o nadmuchiwanie, powiększenie naszego małego „ja”, które tym bardziej staje się aroganckie i zapatrzone w siebie. Działania aktywistów ekologicznych, jeżeli wypływają z takiego dualistycznego myślenia, rodzą tylko cierpienie. Jeżeli natomiast wypływają z przekonania prawdziwej jedności, w sposób niewymuszony wolne są od walki, przemocy i agresji, te bowiem wynikają z nadmiernego przywiązywania się do rezultatów własnych działań.

Ostatnią konsekwencją przyjęcia działania z pozycji jedności jest spokój umysłu osoby, która działa. Nie oznacza to, że osoba ta nie przeżywa emocji, nie cierpi, albo nigdy się nie złości. Oznacza to natomiast, że nie identyfikuje się z tymi doznaniem. Przyjmuje je naturalnie, tak, jak się pojawiają i nie trzymając się ich kurczowo, pozwala im odpłynąć lub rozpuścić się wtedy, gdy chcą odejść. Jak widać, w tym podejściu, po raz kolejny przejawia się cecha działania bez działania. Jeśli coś pojawia się w moim umyśle, to nie robię z tym nic, pozwalam temu na pojawienie się, trwanie przez jakiś czas, a następnie odejście bez żalu, czy radości – niezależnie od tego, czy jest to coś przyjemnego, czy przykrego. To właśnie jest spokojny umysł – nie tyle wolny od przeżyć, ile nieprzywiązujący się do nich. Z takim spokojnym umysłem rzeczywiście łatwiej działać bez przemocy i walki. Tam, gdzie nie ma walki, tam też nie ma przegranej. W tym stanie właściwie nie jest możliwe, aby zostać przez kogoś sponiewieranym, skrzywdzonym, czy zranionym. „Nie da się przecież opluć wiatru”. Spokojny umysł wolny też jest od lęku, który ostatecznie zostaje rozpoznany jako podstawowa iluzja.

W końcu, spokojny umysł pozwala na przyjęcie założenia, że niezależnie od tego, co stanie się z Ziemią będzie to takie, jakie być powinno.

W tym miejscu pojawia się istotny wniosek: może najważniejszą rzeczą, jaką możemy zrobić dla Ziemi, czy dla samych siebie (na jedno to wychodzi), jest odkrycie, że wszystko stanowi jedność, że my nią jesteśmy. Oznacza to zdecydowane zrzucenie iluzji oddzielenia i rozpoznanie własnej prawdziwej natury. To najwyższy stopień wtajemniczenia w procesie ochrony przyrody. Aby go osiągnąć, z pewnością nie wystarczy przeczytać jakiś artykuł albo sto najmądrzejszych nawet książek. Wymaga to natomiast zejścia z barykady, niezależnie od tego, po jakiej stronie jesteśmy i stanięcia oko w oko z samym sobą. Albo wymaga stanięcia tak mocno na barykadzie, aż olśniewająca oczywistość tego, że nie ma dwóch stron, ogarnie nas w błysku naglego zrozumienia. To wszystko wymaga po prostu głębokiej praktyki duchowej.

A co z tymi, którzy działają z pobudek małego „ja”? Opisywane przeze mnie tego typu działanie też jest częścią procesu. W tym sensie nie jest ono ani gorsze ani lepsze od tego, które opiera się na jedności. Jeżeli działania wyrastające z naszego małego „ja” będą dominujące we współczesnym świecie, proces będzie się rozwijał w takim kierunku, który obecnie widzimy. Czy to dobrze, czy źle? Mam nadzieję, że już znacie odpowiedź na to pytanie.

Ja jestem spokojny o Ziemię. A wy?

## Spis fotografii

- 3 Kampinoski Park Narodowy
  - 5 Zachód słońca na Mierzei Wislanej
  - 7 Tannum, Szwecja
  - 9 Traszka, Beskid Żywiecki
  - 11 Tatry, widok z babiej Góry
  - 13 Mnich, Tatry
  - 15 Okolice Hjurit, Mongolia
  - 17 Leśnianka k/Żywca
  - 19 Trzmiel
  - 21 Sęp, Tybet
  - 23 Krzyż, Dukla
  - 25 Okolice Karakorum, Mongolia
  - 27 Potok w Tatrach
  - 29 Kamienie w Skawie
  - 31 Dubaj
  - 33 Piórko na Wybrzeżu Słowińskim
  - 35 Rezerwat ptaków koło Dubaju
  - 37 Pieniny, Słowacja
  - 39 Syrenka warszawska
  - 41 Złomowisko samochodów koło Żywca
  - 43 Warsztaty garncarskie, Zajeżowa, Słowacja
  - 45 Mewy, okolice Wici nad Bałtykiem
  - 47 Gąsienica, Bieszczady
  - 49 Rzekotka, brzeg Wisły
  - 51 Mewy, Lofoty, Norwegia
  - 53 Mustag Ata, Karakorum, Chiny
  - 55 Bogda Feng, Pamir, Chiny
  - 57 Wioska w Pieninach, Słowacja
  - 60 Rosiczki
  - 63 Okolice Zdyni, Beskid Niski
  - 64 Kamienie w Skawie
- okładka: Rezerwat Zabierzów Leśny, Kampinowski  
Park Narodowy

Tekst i fotografie: Ryszard Kulik

Skład: Magda Warszawa

Wydawca: Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot

ul. Jasna 17, 43-360 Bystra

tel./fax 33-8171468, 33-8183153

e-mail: [biuro@pracownia.org.pl](mailto:biuro@pracownia.org.pl)

[www.pracownia.org.pl](http://www.pracownia.org.pl)

Nr konta: BS Bystra, 158133 0003 0001 0429 2000 0001



Druk publikacji został dofinansowany ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.



**Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach**

The Voivodeship Fund for Environmental Protection and Water Management in Katowice

Opublikowano dzięki pomocy finansowej Unii Europejskiej w ramach projektu „Przyroda wokół nas bezcennym dziedzictwem społecznym – prośrodowiskowa kampania edukacyjna Dzika Polska”. Za treść tego dokumentu odpowiada Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, poglądy w nim wyrażone nie odzwierciedlają w żadnym razie oficjalnego stanowiska Unii Europejskiej.



© Copyright by Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot  
Bystra 2007 r.

ISBN 83-919-879-6-5





Stowarzyszenie **Pracownia na rzecz Wszystkich Istot** powstało w 1990 r. W swojej działalności odwołuje się do założeń filozofii ekologii głębokiej, podkreślającej szacunek do wszelkich form życia i zwracającej się ku tradycji niepodzielności świata.

Pracownia za najważniejszy cel uznaje obronę dzikiej przyrody, najcenniejszych obszarów przyrodniczych, w których naturalne procesy biologiczne mogą zachodzić bez przeszkód. Działania ukierunkowane są na zachowanie złożonego ekosystemu, z wszystkimi występującymi w nim gatunkami i procesami przyrodniczymi.

Pracownia prowadziła wiele kampanii na rzecz cennych obszarów i gatunków. Broniła Puszczy Białowieskiej, prowadziła kampanię Dzikie jest piękne na rzecz ochrony dużych drapieżników; domagała się utworzenia Turnickiego Parku Narodowego na Pogórzu Przemyskim. Protestowała przeciw organizacji zimowej olimpiady w Tatrzańskim Parku Narodowym, obecnie angażuje się w ochronę Tatr przed biznesem narciarskim. Od 1998 r. prowadzi kampanię w obronie doliny Rospudy.

Od wielu lat Pracownia zajmuje się monitoringiem szkodliwych inwestycji turystyki masowej w górach. Podejmuje również działania dotyczące zagrożeń i ochrony wartości przyrodniczych przy nowo budowanych drogach szybkiego ruchu i autostradach.

Pracownia prowadzi działalność edukacyjną, której celem jest budzenie szacunku do wszelkich form życia, zwracanie uwagi na sieć powiązań i zależności w przyrodzie oraz motywowanie ludzi do podejmowania działań dla jej ochrony. Stowarzyszenie wypracowało nowatorskie formy edukacji ekologicznej – warsztat Zgromadzenie Wszystkich Istot i szkolenie Strażników Miejsc Przyrodniczo Cennych.

Stowarzyszenie wielokrotnie zdobywało prestiżowe nagrody za swoją działalność, m.in. za kampanię Dzikie jest piękne w 1996 r. od Ministra Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, w 2001 r. za osiągnięcia w dziedzinie edukacji ekologicznej od Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, w 2001 r. nagroda za najlepsze projekty od Sasakawa Peace Foundation.

Stowarzyszenie dysponuje ośrodkiem położonym w Bystrej koło Bielska-Białej, który służy jako Stacja Edukacji Ekologicznej.

## **Dzikie Życie**

Pracownia wydaje od 1994 r. miesięcznik „**Dzikie Życie**”, jedyne pismo ekologiczne w Polsce, które odważnie, dociekliwie i bezkompromisowo pisze o niszczeniu i ochronie przyrody. Na łamach miesięcznika publikują wybitni naukowcy, przyrodnicy i autorytety świata nauki i kultury, przedstawiane są problemy ekologiczne i prezentowane istotne teksty dotyczące światopoglądu ekologicznego.

Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot  
43-360 Bystra, ul. Jasna 17, tel. (+48) 033 818 31 53, tel./fax 033 817 14 68  
e-mail [biuro@pracownia.org.pl](mailto:biuro@pracownia.org.pl), [www.pracownia.org.pl](http://www.pracownia.org.pl)  
Nr konta: BS Bystra, 15 8133 0003 0001 0429 2000 0001

Przedstawiona Państwu publikacja jest częścią prowadzonej przez PnrWI w roku 2007 prośrodowiskowej kampanii edukacyjnej „**Dzika Polska – Przyroda wokół nas bezcennym dziedzictwem społecznym**”. W jej ramach przeprowadzono dziesiątki zajęć edukacyjnych, a w ważniejszych ośrodkach kulturalnych w kraju prezentowano wystawę fotograficzną „**Dzika Polska**”, ukazującą najcenniejsze i zagrożone dewastacją obszary dzikiej, polskiej przyrody. Celem kampanii była zmiana sposobu postrzegania przez ludzi przyrody poprzez podkreślenie jej piękna, znaczenia i wartości w życiu każdego człowieka oraz wskazanie na konieczność jej ochrony. Ponieważ edukacja ekologiczna i praktyczna ochrona przyrody to dwa, wzajemnie się uzupełniające filary programu, podjęto również szereg interwencji mających na celu wspomaganie społeczności lokalnych w działaniach na rzecz ochrony miejsc cennych przyrodniczo.



**Ryś Kulik** (ur. 1965) – doktor psychologii i miłośnik przyrody. Od początku lat 90-tych związany z ruchem ekologicznym i miesięcznikiem „Dziki Życie”, gdzie publikuje swoje felietony. Trener psychologicznego treningu grupowego, autor książek i artykułów naukowych i popularnonaukowych poświęconych problematyce relacji człowiek – środowisko. Fotografik przyrody prezentujący swoje prace w licznych galeriach oraz prasie ekologicznej. W swojej pracy inspirację czerpie przede wszystkim z bliskiego kontaktu z naturą, ale także z filozofii głębokiej ekologii, psychologii humanistycznej i transpersonalnej.

---

*Ta książka to zapis spokojnej, mądrej i głębokiej refleksji nad naszą ludzką kondycją, która jak w powiększającym zwierciadle odbija się i ukonkretnia w naszym stosunku – nie tylko do przyrody – lecz do wszystkiego, co nas otacza.*

*Nie daj się zwieść czytelniku. To nie jest książka o odkrywaniu przyrody. To książka o odkrywaniu twojej prawdziwej natury będącej zarazem prawdziwą naturą wszystkiego.*

**Wojciech Eichelberger**

